





7 850.615

7

PERKIN ELDER SALOMONA



II. 890.616

1

PIERŚCIEŃ  
KRÓLA SALOMONA

PODŁUG  
KLEMENSA BRENTANO

NAPISAŁA

**PIERŚCIEŃ KRÓLA SALOMONA**

WYKŁADY

ANNA GRAMATYKA-OSTROWSKA



LWÓW

WYDAWNICTWO KAPLAŃSKI NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH

1959

№ 228

PIERŚCIEN KRÓLA SALOMONA

3

# PIERŚCIEN KRÓLA SALOMONA

ROZDZIAŁ PIERWSZY  
PODŁUG  
KLEMENSA BRENTANO

NAPISAŁA  
ZOFJA ROGOSZÓWNA

ILUSTROWAŁA  
ANNA GRAMATYKA-OSTROWSKA



LWÓW

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH

1932

PIERŚCIEN  
KRÓLA SALOMONA

PODOP  
KLEMEŃSA BRENTANO  
KAPITAŁA  
SOFIA ROGOŹSKA  
TEKST I RYCINY PRAWNIE ZASTRZEŻONE



II. 890.616



LWÓW  
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE  
POD ZARZĄDEM KAZIMIERZA FIGWERA

1976 W 636/3



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dawno już dawno temu żył w starym, odwiecznym borze poczciwy człeczyna, któremu było na imię — Gdakacz. Gdakacz miał żonę Gdakulę i małą córeczkę — Gdakuleńkę.

Gdakacz, Gdakula i Gdakuleńka mieszkali w ogromnym, opuszczonym zamczysku. Z zamku tego nicby się wynieść nie dało, bo nic w nim nie było; brak mu było nawet tak niezbędnych rzeczy jak bramy, drzwi i okien. Zamek był zato doskonale zaopatrzony w świeże powietrze i światło słoneczne. Dach nad budynkami zapadł się oddawna, a z pogniłych i popróchniałych schodów, pował i podłóg, już i śladu nawet nie pozostało.

Wszystkie kąty zamku porastały bujnem zielskiem i trawą, a w zagłębieniach murów gnieździło się mnóstwo ptaszków. Nawet takie znakomitości ptasie jak: gawrony, kawki, sępy, jastrzębie, sowy i puhacze, próbowały się w zamku osiedlić. Gdy jednak zapytały Gdakacza o mieszkanie do wynajęcia, Gdakacz odmówił stanowczo przyjęcia ich za lokatorów pomimo obietnicy, że będą mu płacić wysokie komorne w dziczyźnie i rybach.

Wtedy rzekła do Gdakacza, żona jego, Gdakula:

— Powiedz mi mój kochany, czemu nie chcesz wynająć mieszkania tym wspaniałym ptakom, które nam taki porządny czynsz chcą zapłacić? Przecież wiesz, że się u nas nie przelewa i kawałek pieczystego nierazby się nam przy-

dał. Nie rozumiem, dlaczego nie zgodziłeś się na ich prośbę, skoro pozwalasz mieszkać w zamku całej gromadzie różnych innych ptaków, które nam z pewnością nigdy nie zapłacą za mieszkanie.

A na to odpowiedział Gdakacz:

— Oj niemądra! niemądra Gdakulo! Czyż już zapomniałaś, kim my jesteśmy? Czyż wypadałoby ludziom naszego pochodzenia żyć z komornego, płaconego przez bandę drapieźnych rabusiów? Nie, — gdyby nas Pan Bóg nawet w ostateczną nędzę pogrążył, to raczej umarłbym z głodu, niżbym się zgodził korzystać z ich łupu! Czyś się nie zastanowiła, Gdakulo, jakąby była ta zwierzyna, którą nam te hultaje obiecują? Z pewnością cisnęliby do naszej kuchni poszarpane i zakrwawione ciała naszych maleńkich przyjaciół, którzy śpiewem swoim rozweselają nasze pustkowie. Powiedz, czy nie ścisłałoby się bólem twoje serce, gdybyś miała usmażyć w rondelku, albo upiec na rożnie, słowiczka miłego, zwinną jaskółeczkę, albo szczygiełka z różowem gardziółkiem? Czyż wolisz je mieć na półmisku, niż widzieć szybujące swobodnie nad zamkiem? I chcesz, żeby zamiast ich rozkosznego świegotu, prześladowały nas w dzień i w nocy wrzaski i łopot skrzydeł tych rozbójników? Oj, Gdakulo! Gdakulo niemądra! Pewnie nie zastanowiłaś się, dlaczego te rabusie tak koniecznie w „naszym“ zamku zamieszkać pragną? Z pewnością wiedzą już, że zamierzamy prowadzić hodowlę drobiu, która nam wróci nasz utracony majątek. Czyż nasza Gallina nie wysiadyje 30 jaj? A z jaj tych czyż nie wykluje się 30 kurczątek? A każde z nich czy nie może znowu znieść po 30 jaj? A gdy te wszystkie się wyklują, to będzie 30 razy 30... słyszysz Gdakulo 900 kur! A ty Gdakulo chciałyś do zamku wprowadzić jastrzębie i sępy? Chyba już zupełnie zapomniałaś, że jesteś ostatnią ze szlchetnego rodu hrabiów Kuroszów na Kurowie, żoną zubożałego i za-

poznanego księcia Gdakacza na zamku Kurnickim? Ach, nie poznaję Cię, żono moja! Oj nędzo, nędzo, co też ty czynisz z ludzi! Pod ciężarem twego pustego, a tak ciężkiego do dźwigania worka, najszlachetniejsze nawet serca zdolne są pograżyć się w błocie!

Tak mówił uniesiony szlachetnem oburzeniem ostatni potomek słynnego rodu książąt Gdakaczów na zamku Kurnickim, do żony swojej Gdakuli z Kuroszów, która stała przed nim z miną tak wzruszoną i zawstydzoną, jakby zupełnie mówić zapomniała.

Gdakula milczała długo, wkońcu jednak chciała powiedzieć:

— T-ak, to wszystko prawda, ale widzisz drapieżne ptaki mogłyby nam przynieść czasem zajączka młodego — gdy wtem olbrzymi czarny kogut siedzący na oberwanym gzym-sie muru, zapiał tak groźnie i głośno i z taką siłą zaczął bić skrzydłami, że przestraszona Gdakula z Kuroszów zamknęła usta i — nie powiedziała ani słowa. Gdakula wiedziała, że staremu kogutowi należy się cześć i szacunek, a przerywać mu piania stanowczo nie wypada.

Chciała więc się odwrócić i odejść, ale Gdakacz powiedział jeszcze:

— Gdakulo! nic więcej nie potrzebuję dodawać, skoro mowę moją zatwierdził rycerski herold, wielki ochmistrz dworu, notariusz publiczny i nadworny poeta moich przodków — Alektrjo. Pianiem swem protestuje przeciw temu, żeby potomkowie jego, oczekiwane przez nas kurczątką miały być narażone na niebezpieczne sąsiedztwo drapieżców.

Na te słowa Gdakula westchnęła ciężko i zgiąwszy się wpół, znikła w niskich drzwiach wiodących do kurnika.

Do kurnika? Tak, bo w kurniku mieszkali Imć książę Gdakacz na zamku Kurnickim, Imć Gdakula z Kuroszów i Imć panna — Gdakuleńka. W jednym rogu kurnika, na

starej tarczy herbowej, narzuconej słomą, wysiadywała kwoka 30 jaj, a nad nią na żelaznej lancy, wbitej w ścianę, czuwał nocą jej mąż i pan, czarny kogut Alektrjo. Kurnik był jedyną komnatą mieszkalną w zamku, bo tylko kurnik miał cały dach i ściany. W dawnych czasach zamek Kurnicki był jedną z najpiękniejszych siedzib całego kraju. Ale za życia prapradziadka księcia Gdakacza, napadli go wrogowie, zamek zamienili w perzynę, a przekładając drób nad wszelkie inne mięsiwo — wycięli w pień i zjedli wszystkie najwspanialsze okazy hodowane na dworze książęcym. Książę uratował się ucieczką i długie lata tułał się po lasach, z ocalonemi z ogólnej rzezi kogutem i kurą, od której to pory w prostej linii pochodziły kogut i kura, będące obecnie w posiadaniu Gdakacza.

Ród książęcy nie podźwignął się więcej po tym upadku. Przodkowie Gdakacza, dzięki swemu świetnemu urodzeniu, piastowali na dworze królewskim urzędy ministrów kur i kapłonów. Wysokie to stanowisko zajmował po śmierci ojca swego i książę Gdakacz. Niestety jednak panujący obecnie król był tak wielkim amatorem jaj, że nigdy nie dawał wykluć się kurczętom, bo zjadał je już jako jaja. Gdakacz oburzony tem nieumiarkowaniem, kilkakrotnie czynił królowi ostre wymówki, czem rozgoryczony król dał mu dymisję i minister kur i kapłonów musiał opuścić dwór królewski.

W łachmanach, jak ostatni nędzarze, wracali teraz Gdakacz, Gdakula i Gdakuleńka do zwalisk zamku Kurnickiego. Całym majątkiem Gdakacza był kogut rodowy Alektrjo i kura rodowa Gallina. Ale Gdakacz miał ponadto jeszcze dwa inne skarby, cenniejsze od najpiękniejszego koguta i najlepszej kury: — miał dzielne, szlachetne serce i czyste sumienie.

Imię Gdakula z Kuroszów chętnie dzieliła z mężem jego

wygnanie. Gdy jednak weszli do ciemnego boru, westchnęła nagle, przypomniawszy sobie wspaniały dwór królewski i prześliczne miasto, rozciągnięte u jego stóp. Ah! domy stały tam bliźutko jeden koło drugiego i w każdym był sklep z wędlinami, albo pieczywem.

W miarę jak las stawał się gęściejszy, mina Gdakuli przeciągała się coraz bardziej. Raz po raz stawały jej w myśli różowe szynki i kręgi kielbas, wiszące na hakach, całe ćwierci wołu okryte czystym, białym płótnem i stosy rumianych bułeczek, ułożone z wdziękiem na lśniących od białości ladach sklepowych. Jakby dla powiększenia cierpienia Gdakuli — mała Gdakuleńka, trzymająca się jej fartucha, zapytała nagle:

— Powiedz mi, Matusiu, czy tam, gdzie teraz idziemy, będą precelki posypane cukrem?

Gdakula westchnęła tylko, ale Gdakacz, który szedł przodem, mając na jednym ramieniu kura rodowego Elektrja, a na drugim kurę rodową Gallinę, usłyszał zapytanie dziecka i odrzekł:

— Nie, nie, droga moja Gdakusiu! Tam, dokąd idziemy, precelków nie będzie, ale precelki są niezdrowe, bo psują ząbki i żołądek, będziesz miała zato czarne borówki i mnóstwo czerwonych poziomek; to mówiąc Gdakacz schylił się i wskazał dziecku kilka krzaczków czerwieniejących się jagódek, które Gdakusia czempredzej zerwała i zjadła.

Potem zapytała znowu:

— Matusiu! a czy tam, gdzie idziemy, będą zajączki z czekolady?

Imć Gdakuli ścisnęło się serce i łzy nabiegły jej do oczu, ale Gdakacz zawołał wesoło:

— Nie, nie, drogie moje dziecko! Czekoladowych zajączków tam niema, ale są żywe zajączki i białe króliczki, które mają ciepłutkie futerka. Jeżeli Gdakusia będzie

grzeczna, to z tych futerek uszyjemy jej na imieniny ciepły płaszczyk. Spójrzj Gdakusiu, właśnie biegnie zajączek — i Gdakacz wskazał laską migającego wśród zarośli leśnych zajączka.

Gdakusia puściła fartuch matki i zaczęła biec za zajączkiem, wołając:

— Daj mi płaszczyk! daj mi płaszczyk! — ale zajączek pomykał jak strzała, a Gdakusia potknęła się o wystający korzeń drzewa i rozplakała się głośno. Gdakacz podniósł ją z ziemi i upomniawszy, żeby była uważniejsza, pocieszył ją ślicznymi malinami, które rosły tuż obok. — Gdakusia zjadła maliny, a po chwili zapytała znowu:

— Moja Mamo, a czy tam, gdzie idziemy, będą takie pajace z lukrowanego piernika, które mają oczy z rodzynek, nos z migdała, a buzię z konfiturki?

Na te słowa Gdakula nie mogła dłużej łez powstrzymać i wybuchnęła głośnym płaczem, a Gdakacz rzekł:

— Nie, nie, Gdakusiu kochana! Nie będzie tam pajaców z lukrowanego piernika, ale nie żałuj ich, bo ciastka psują dzieciom ząbki i żołądek. Zato będzie tam mnóstwo ślicznych ptaszków, które będą wic gniazdka, karmić małe pisklęta i śpiewać od rana do nocy. Będiesz mogła patrzeć na nie, czuwać nad nimi, i dzielić z nimi wisienki czerwone, których tam dużo, dużo rośnie. Mówiąc to, podał dziecku śliczną gałąź wiśni, uginającą się pod ciężarem dojrzałych czerwonych owoców.

Gdakusia zaczęła jeść wisienki i zapychając nimi buzię milczała przez chwilę.

Gdy już przełknęła ostatnią, zapytała znowu:

— Powiedz mi, Mamo, czy tam, gdzie idziemy, będą takie duże, śliczne torciki jak w Jajogrodzie?

Na to Gdakula zapłakała jeszcze rzewniej, a Gdakacz

zniecierpliwiony odwrócił się i przystanąwszy na ścieżce, rzekł surowo:

— Płacz, płacz, Gdakulo z Kuroszów! Płacz i lamentuj, że nasze jedyne dziecko jest takim nienasyconym żarłokiem, który o niczem innem mówić nie potrafi, jak tylko o precelkach, zajączkach z czekolady, pajacach z lukrowanego piernika i torcikach! Ale nie bój się, Gdakulo! Głód jest najlepszym kucharzem i czyni potrawy dobrymi. On i Gdakusie nauczy poprzestawać na małym. Bądź rozsądna i przestań płakać Gdakulo! Ptaszki niebieskie nie orzą ani sieją, a jednak Bóg najwyższy pamięta o nich — tem pewniej nie zapomni On o Gdakaczu, który i siać i orać umie. Bóg odziewa lilje polne, które nie przędą, ani szyją, czemużby nie miał odziać Gdakuli, która doskonale prząść i szyć potrafi — małej Gdakuleńki, którą matka pewnie prząść i szyć nauczy.

Słowa te przerwał donośny klekot bociana, który wysunął się z za krzaka, poważnym krokiem zbliżył się ku Gdakaczom, przyjrzał się im bacznie i zaklekotawszy raz jeszcze, poleciał.

— Dobra nasza! — zawołał Gdakacz. Musimy być nie daleko zamku, skoro nasz przyjaciel domowy, mieszkający na najwyższym szczycie wieży, wyszedł na nasze spotkanie. Żebyśmy jednak nie potrzebowali błądzić po rozległych skrzydłach naszego zamku, wyśle naprzód służbę naszą, aby się zajęła wyszukaniem odpowiedniego dla nas mieszkania.

To rzekłszy, Gdakacz zdjął z ramienia koguta i kureę, postawił jedno na prawej, a drugie na lewej dłoni i rzekł:

— Alektrjo i Gallino! Za chwilę przestąpicie wraz z nami próg rodowego gniazda naszych przodków. Widzę po uroczystym wyrazie waszych dziobów, że jesteście niemniej od nas wzruszeni tym ważnym momentem naszego życia. Chcąc tę chwilę uświetnić należycie, mianuję ciebie Alektrjo, rycerski kogucie — wielkim ochmistrem dworu, kluczni-

kiem, astronomem, prorokiem, stróżem nocnym i trębaczem nadwornym, żywiąc nadzieję, że piastowanie zaszczytnych tych urzędów nie przeszkodzi ci w sumiennem wypełnianiu obowiązków męża i ojca. Tego samego spodziewam się i po tobie Gallino, kuro rodowa! Mianuję cię ochmistrzynią dworu, żywiąc nadzieję, że piastując ten urząd zaszczytny, nie zaniebasz obowiązków żony i matki. Jeżeli zgadzacie się przyjąć ofiarowane wam stanowiska, dajcie twierdzącą odpowiedź.

Alekrjo wyciągnął szyję, spojrział ku niebu i zapiał, jak mógł najuroczyściej, a Gallina wzruszonym głosem zagadała. Poczem Gdakacz postawił oboje na ziemi i rzekł:

— A więc, panie kluczniku nadworny i pani ochmistrzyni dworu, śpieszcie naprzód do zamku, wyszukajcie nam mieszkanie i przyjmijcie nas u wejścia.

Na to kogut i kura wyciągnęli łapki i puścili się pędem przez las, śpiesząc na wyścigi do zamku.

Gdakacz zwrócił się potem do Gdakuli i Gdakuleńki, prosząc, żeby ufały w opiekę bożą, żeby cierpliwie i radośnie znosiły pobyt w zamku, żeby były pilne i pracowite, a Bóg napewno błogosławić im będzie, a mówił tak serdecznie, że Imć Gdakula i Gdakuleńka ucałowały go z całego serca, obiecując zastosować się we wszystkim do jego woli.

I poszli dalej wesoło w głąb dużego, zielonego boru. Zachodzące słońce przeświecało przez gałęzie drzew, cicho było i tak jakoś przytulnie, lekki wietrzyk muskał listki drzew i szeleścił w trawie. Gdakula zaczęła śpiewać, najpierw cichutko, potem coraz głośniej. Gdakacz i Gdakuleńka wtórowali jej zcicha:

Jak tu miło w cichym gaju:  
sarny wonną trawkę skubią,  
z żalem kwiatki dzień żegnają,  
bo się w słońcu kąpać lubią;





\*BIBLIOTEKA\*  
EN  
NARODOWA

a słoneczko się zniżyło  
 aż ku samej ziemi prawie,  
 koszulinę swą zrzuciło  
 i zasnęło na murawie.

Tak spać będzie słonko boże  
 w te wieczorne, ciche zorze.  
 Dobrej nocy! hop! hopeńka!  
 życzy słońcu Gdakuleńka.  
 Dobrej nocy! hop! hopula!  
 życzą Gdakacz i Gdakula.

Wesolutkie, zwinne rybki,  
 już igraszek swych nie wiodą —  
 za tęczowe śpiesząc szybki,  
 wszystkie nikną, hen, pod wodą.  
 W kolebeczkach z żwiru, piasku,  
 prześnią słodko aż do brzasku,  
 a strumyczek szmerem swym  
 kołysankę nuci im.

Tak spać będą rybki boże  
 w te wieczorne, ciche zorze i t. d.

Mała pszczołka wkoło krąży;  
 już do domu dziś nie zdąży,  
 więc, gdzie dzwonek kiść na błoni,  
 o schronienie na noc dzwoni.  
 Kwiatek wdzięcznie główką kiwa,  
 pszczołka wsuwa się szczęśliwa  
 i już pyszczek w łapki tuli  
 w woniejącej dzwonka luli.

Spać stworzeńko będzie boże  
 w te wieczorne, ciche zorze.  
 Dobrej nocy, hop, hopeńka! i t. d.

Milkną, cichną leśne gwary;  
 jeszcze tylko ptaszek szary  
 słucha, jak pod skrzydłem matki,  
 kwilą drobne jego dziatki.

Jedno, drugie piórko skubnął,  
na dobranoc żonkę dzióbnął,  
Już zasnęli, tylko gwiazdka  
maleńkiego strzeże gniazdka.

Tak spać będą ptaszki boże... i t. d.

Dobry Boże! Tyś wysoko,  
lecz niech dojrzy Twoje oko  
przez gałęzie ciemne boru  
nas, wygnańców z Jajodworu.  
Zbuduj nam nad głową dach,  
Odgoń od nas nocny strach,  
A nie będziem czuć się sami,  
Gdy Ty Boże będziesz z nami.

I spać będziem dziatki boże i t. d.

Las rzedniał, Gdakula przestała śpiewać, bo oto na złotem tle zorzy wieczornej ukazały się ruiny zamczyska. Ze wszystkich wyrwanych okien płynęły strumienie światła; u progu rozwalonej bramy czekało Gdakaczów uroczyste przyjęcie.

Czarny kogut Alektrjo, siedzący na kamiennej tarczy herbowej ponad bramą, uderzył w skrzydła i zapiał po trzykroć, jak na prawdziwego trębacza zamkowego przystało. Na hasło dane przez koguta, wszystkie ptaszki, mieszkające w zarośniętych zielskiem załomach murów, wyleciały z gniazdek i zanuciły najśliczniejsze piosenki, radośnie trzepocąc skrzydełkami i bujając się na gałęziach dzikiej róży, która wonnemi płatkami kwiatów ścieliła drogę do zamku. Z najwyższego szczytu zamczyska zaklekotał bocian, mieszkający tu z liczną rodziną, a klekot ten zabrzmiał potężnie, jak uderzenie w bęben i trąby w orkiestrze.

Gdakacz, Gdakula i Gdakuleńka uprzejmie podziękowali za życzliwe przyjęcie, poczem udali się do rozwalonej kaplicy zamkowej i tu uklękłszy przed ołtarzem, zarosłym

mchem i kwiatami polnemi, na ogromnej płycie kamiennej, zamykającej grobowiec pra-pradziadka Gdakacza, księcia na zamku kurnickim — zaczęli modlić się gorąco, dziękując Bogu za szczęśliwie odbytą podróż i błagając Go o pomoc i opiekę w przyszłości. Cisza panowała dokoła, ptaszęta umilkły nie chcąc przerywać modlitwy i dopiero gdy Gdakaczowie z kolan powstali, Alektrjo i Gallina jako ochmistrz i ochmistrzyni dworu zbliżyli się do nich i, zcicha krokorząc, zapraszali do obejrzenia nowej siedziby. Gdakaczowie zrozumieli prośbę, a Alektrjo i Gallina, majestatycznie krocząc przodem, przeprowadzili ich przez podwórzec zamkowy aż przed wielkie drzwi, wiodące do zupełnie dobrze utrzymanego kurnika.

Przestępując próg, Alektrjo nisko schylił łebek, jakby się obawiał zawadzić czerwonym grzebieniem o ramę drzwi. Obawa była płonna, wobec tego, że w drzwiach mógł stanąć mężczyzna wysokiego wzrostu. Alektrjo jednak czuł się nie mniej dumnym od głów ukoronowanych, a wiadomo, że ukoronowane głowy zwykle gną się pod ciężarem swego majestatu.

W kurniku więc, z którego wychodziło się do małego, opuszczonego ogródka, zamieszkali Gdakaczowie, starając się urządzić jak najlepiej. Gdakacz zrobił miotłę z gałęzi, a Gdakula zamiotła nią podłogę. Nanieśli także mchu, zeschłych liści i w jednym kącie zrobili wygodny tapczan, który przykryli podartym płaszczem Gdakacza i fartuszkiem Gdakuli. Potem ułożyli się do snu; Gdakacz po prawej stronie, Gdakula po lewej, a mała Gdakusia pośrodku. Alektrjo i Gallina zajęli miejsca przeznaczone dla nich na tarczy herbowej i lancy, wbitej w ścianę. Wszyscy pięcioro, zmęczeni długą podróżą, zasnęli wkrótce.

Gdzieś około północy, Alektrjo naraz poruszył się niespokojnie, a że Gdakacz, rozmyślając nad sposobami wyży-

wienia swej rodziny, nie spał mocno, ale drzemał tylko, na poruszenie koguta zerwał się i przetarłszy oczy, rozejrzał się dokoła. W blasku księżyca, na progu otwartych drzwi, stał olbrzymi czarny kocur, którego oczy świeciły, jak dwa rozżarzone węgle. Kot zdawał się wahać przez chwilę, aż nagle skoczył do kurnika; Gdakacz usłyszał stłumiony pisk i poczuł, że coś ciepłego, miękkiego wsunęło się do rękawa jego surduta. Na widok kota, kogut i kura zaczęły drzeć się i bić skrzydłami, a Gdakacz zerwał się i chwyciwszy miotłę, wypędził na dwór kocura i drzwi zamknął. Potem podszedł do szpary w murze, ażeby przy świetle księżyca zobaczyć, co tam schowało się w jego surducie — i jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał dwie prześliczne, maleńkie, białe myszki.

Zwierzątka nie bały się go wcale, tylko usiadły na tylnych łapkach, a przednimi przebierały zupełnie jak pieski, kiedy służą. Bardzo się to podobało Gdakaczowi, więc włożył je do swojej starej baraniej czapki i położył się, myśląc, jak to jutro Gdakusia się ucieszy, kiedy jej podaruje takie śliczne stworzeńka. Gdakula i Gdakuleńka były tak pomęczzone, że ich wcale hałas i zamieszanie, spowodowane w kurniku ukazaniem się kocura, nie przebudziły.

Gdy tylko Gdakacz zasnął, myszki wysunęły się z baraniej czapki i zaczęły ze sobą rozmawiać:

— Ach Ciapciu! najdroższa moja oblubienico! — rzekła jedna — przekonałaś się sama dzisiaj, co z tego wynika, kiedy się za długo marzy przy świetle księżyca. Czyż nie ostrzegałem cię, że narazimy się na niebezpieczeństwo?

A Ciapcia odpowiedziała:

— Ach Ciapusiu! mój małżonku ukochany! proszę cię, nie rób mi wyrzutów — już i tak mam dosyć zmartwienia. Cała się trzęsę ze strachu na wspomnienie tego strasznego kocura, a kiedy listek zaszeleści na dworze, martwieję

z przerażenia, bo zdaje mi się, że widzę znowu jego straszne, rozżarzone oczy.

A Ciapus na to:

— Tak bardzo obawiać się nie masz czego! Ten dobry człowiek rzucił na kota takim dużym kamieniem, że kot się chyba do studni schował ze strachu.

— Ach — jęknęła Ciapcia — ja się tak bardzo boję dalszej podróży. Przecież my najmniej ośm dni będziemy musieli wędrować, zanim dostaniemy się na królewski dwór twojego pana ojca. A teraz, odkąd kot się dowiedział o naszej podróży, z pewnością za każdym krzakiem będą na nas czatowały całe gromady tych potworów.

— Gdybyż — odrzekł Ciapus — był przynajmniej most na rzece, to za półtora dnia bylibyśmy już na miejscu. Ale musimy całą rzekę obchodzić, aż do samego jej źródła...

Cichą tę rozmowę przerwał nagle przeraźliwy wrzask puhacza.

— Ach! — pisnęła Ciapcia — jeszcze i puhacz! ach, czemu zgodziłam się na małżeństwo z tobą, czemu opuściłam dom rodzinny! czemu nie jestem przy mojej mamie! — i zaczęła płakać żałośnie.

Biedny mysi małżonek zasmucił się bardzo, widząc łzy maleńkiej Ciapci i wszelkimi sposobami starał się ją uspokoić i pocieszyć. Wkońcu rzekł:

— Ciapciu najdroższa! Świetna myśl zaświtała mi w łebku! Jeżeli ten dobry człowiek, który nam ofiarował swoją czapkę na łóżeczko, dowie się, jakie nas spotkało nieszczęście, z pewnością nie odmówi nam swojej opieki. Wdrapmy się na niego, potem ty siądziesz koło jego lewego ucha, ja koło prawego i każde na swój sposób opowie mu nasze smutne dzieje. Ale Ciapciu, musimy mówić bardzo czule i bardzo cichutko, żeby go nie zbudzić, zanim się wszystkiego od nas nie dowie, bo ludzie rozumieją mowę

zwierzątek tylko we śnie. Ach, Ciapciu, jestem pewien, że twój głosik czarujący potrafi go wzruszyć, drapmy się więc na niego czem prędzej!

Ciaccia nie dała sobie dwa razy tego powtarzać; szybko wdrapali się oboje, Ciaccia na lewe, a Ciapuś na prawe ucho Gdakacza. Ciapuś usiadł na tylnych łapkach, przeciągnął sobie przez pyszczek koniec ogonka, ażeby nadać swojemu głosikowi wzruszające brzmienie i zaczął śpiewać cichutko:

Mam honor Ci przedstawić się:  
 Wędzokogryzkiem zowią mnie.  
 Mój rodzic ma królewski dwór  
 ze szwajcarskiego sera, skór.  
 Dziś z żonką młodą miałem iść,  
 Aby weselne cukry zgryźć,  
 gdy wtem, z podziemnych zamków grot,  
 wyskoczył straszny, czarny kot  
 i gnał nas, poprzez gruz i mur  
 aż do surduta twego dziur.  
 Księżniczka Ciaccia leje łzy —  
 o atlasową skórkę drży...  
 Gdakaczu! wiesz już ktośmy zaczą —  
 pomóż utulić żony płacz,  
 wszak mógłbyś w kieszeń wzięwszy nas,  
 przenieść oboje przez swój las —  
 mógłbyś zbudować również most,  
 byśmy do domu poszli wprost.  
 Jeśli to spełnisz, wierzaj mi, —  
 że nie zapomnę tego Ci  
 i gdy w potrzebie znajdziesz się  
 mój rodzic — król, nagrodzi Cię.  
 Pragnąc uniknąć kocich kłów,  
 dobieram z trudem dworskich słów  
 lecz jak mi ciężko, Bóg to wie —  
 przed czyjś uchem korzyć się.  
 Mnie, co mam wierny, mnogi lud  
 i rządę w państwie Mysigród;



gdzie pałac skryty w głębi puszczy,  
 wypaca dumny, wonny tłuszcz!  
 Dość już. Ostatni mówię raz:  
 pod swą opiekę weź Ty nas;  
 stwórz mi nad głową pewny dach,  
 bo rzucę na Cię wielki strach.  
 Jeżeli kot podejdzie bliżej,  
 jeżeli mi Ciapcię raz poliże,  
 jeżeli pazurem ją zadraśnię —  
 jeżeli miauknie, albo wrzaśnie;  
 jeżeli dotknie skórki naszej  
 i tem żoneczkę mi nastraszy — —  
 a strach — mąż jeden o tem wie —  
 może mieć dla niej skutki złe,  
 jeśli co gorsza! kot nas zje:  
 Gdakaczu! z życiem żegnaj się!  
 Bo żadna moc Cię nie obroni:  
 pod zębem padniesz mych Gryzoni!  
 Skończyłem. A żem nie na tronie,  
 tylko na własnym swym ogonie,  
 w twojej baraniej siedzę czapie...  
 (i skłopotany łeb mój drapię)  
 proszę, spokojnie trzymaj głowę,  
 gdy podpisywać mam umowę —;  
 byś nie mógł się sprzeciwić mi:  
 królewską pieczęć wgryzam Ci!

Na zakończenie tej niekoniecznie uprzejmej przemowy, królewicz Wędzokogryzek ukąsił Gdakacza w ucho tak mocno, że Gdakacz wrzasnął przez sen z bólu i przebudziwszy się zaczął machać rękami na prawo i lewo. Przerazone myszki wpadły do baraniej czapki i, przytuliwszy się do siebie, odetchnąć nie śmiały z przestachu.

— No, to już szczyt grubjaństwa, żeby tak kogoś w ucho kąsać — mruknął rozespany Gdakacz.

Na to przebudziła się Gdakula i zapytała:

— Kto ciebie w ucho ukąsił? pewnie ci się coś przyśniło?

— Aha! przyśniło... — odparł Gdakacz i zaraz zasnęli obydwójce.

Wtedy zapytała Ciapcia:

— Na miłość boską, Ciapusiu, czemu tak rozgniewałeś tego człowieka? może powiedziałeś mu coś niegrzecznego?

A gdy Ciapusiś powtórzył całą swą przemowę, Ciapcia w łapki klasnęła ze zdumienia:

— Ach Ciapusiu! uszom własnym nie wierzę! któż widział być tak źle wychowanym? Ostatni pomywacz na dworze moich rodziców jeszczeby się lepiej potrafił zachować, aniżeli ty! Teraz wszystko stracone! Dzięki twoim wykwintnym manierom zgubiona jestem na zawsze! O dolo moja nieszczęśliwa! O życie moje młode! Czuję już kły i pazury kocura, rozszarpujące mnie w twoich oczach! O czemuż Ciebie poznałam! i t. d. i t. d.

Wobec tego gradu wyrzutów, któremi zasypała go Ciapcia, Ciapusiś zupełnie stracił głowę. Czuł się winnym, bardzo winnym, to też każde słowo Ciapci raniło go boleśnie. Wkońcu, zebrawszy się na odwagę, rzekł pokornie:

— Ach Ciapuchno! przestań płakać, bo łzy twoje rozdzierają mi serce! ja wiem, że zawiniłem bardzo, ale może ty to potrafisz naprawić. Zbliź się do tego człowieka i przemów do niego po swojemu; jestem pewny, że sam dźwięk twego czarującego głosiku go udobrucha. Ale mów do jego lewego ucha, bo lewe ucho jest od serca. Ach przekłeta godzina, w której przyszło mi się popisywać wymową dworską!

— Dobrze — spróbuję go ułagodzić — rzekła na to Ciapcia.

Cichutko, delikatnie przysunęła się do lewego ucha Gdakacza. Pozę przybrała wzruszającą, maleńkie łapki złożyła jak do modlitwy, a przez ramię przerzuciła zamiast warkocza swój ogonek. Potem pochyliła łebek nad uchem Gdakacza

i zaczęła nucić, ale tak cichym i rzewnym głosikiem, że wyraźnie słychać było trwożne bicie jej mysiego serduszka:

Czcigodny Panie! cała drzę,  
bo gniewu Twego lękam się.  
Patrz, jak się trzęsie mój ogonek...  
bo mówił z Tobą mój małżonek,  
a mowa ta nie była pańska,  
tylko niegrzeczna i grubjańska.  
Niedość, że słowem Cię obraził  
lecz myśl miał jeszcze nieszczęśliwą  
i cenne ucho Twe uraził  
swoją pieczętką osobliwą.  
Niegodna Ciebie taka pieczęć;  
więc słuszniesz mu okazał niechęć  
i słuszniesz parsknął nań złowrogo  
lecz Ty go Panie nie karz srogo!  
Ja wiem, że źle postąpił on,  
ale Ty, Panie, dobry ton  
znasz doskonale, boś szlachetne  
zasady wyniósł jeszcze z domu  
i wychowanie Twoje świetne  
nikomu nie przyniesie sromu.  
Ach! mąż mój nie ma tych manier,  
bo zamiast kształcić się, jadł ser  
i jak jedynak każdy mały  
chrupał słoninkę i migdały.  
Dzieckiem go, moja świekra miła,  
na bicz cygański rozpuściła.  
Gdy łapką skinął, cały dwór  
wybiegał z wszystkich mysich dziur  
i korne przed nim bił pokłony.  
On „prosić“ nie jest nauczony.  
Gdy przed kim musi schylić głowę,  
zaraz mu gniew odbiera mowę:  
błękitna krew się w nim gotuje...  
Lecz on za winy swe żałuje.

Ach! teraz martwi się biedota,  
że wpadnięm znowu w łapy kota  
i myśl o śmierci tak go dręczy,  
że w czapce Twojej drży i jęczy...  
— Na oczka obciera i znów szlocha,  
bo on mnie, Panie, bardzo kocha  
i ja go, Panie, całą duszą!  
I chociaż mu natarłam uszu,  
że nie ma dworskiej etykiety,  
wiem, że on swoje ma zalety!  
I teraz też po kilku „ach“  
poprosił mężuś mnie we łzach,  
bym słów gorących niosąc dań,  
dziś przeprosiła Ciebie zań.  
A ja tu tak się rozgadałam,  
że się przedstawić zapomniałam.  
Lecz teraz, szepnę Tobie zcicha,  
żem nie jest żadna myszka licha,  
lecz królewskiego rodu córka:  
maleńka Ciapcia — Gryziwiórka.  
I choć się, Panie, wielce trwożę,  
moją Ci prośbę tu przedłożę:  
Rycerzu, los mój zagrożony!  
i Ciebie proszę o obronę.  
Wszak obowiązkiem to szlachcica,  
gdy dama prośbą go zaszczyca,  
jest bronić zawsze piękną pleć,  
pomnij, jak to raz lew wpadł w sieć  
(w bajce Ezopa zdaje się)  
a małe, drobne ząbki mysie,  
że lew ich nie zjadł, za nagrodę,  
w lot go puściły na swobodę.  
I Ty uprzejmym bądź dla dam  
i odbyć podróż pomóż nam.  
Gdybym nie była jak śnieg biała,  
jużbym ze strachu osiwiiała,  
na myśl o tym potwornym kocie.  
Czy prośba moja dojdzie do Cię?

Czy ucho Twoje mnie usłyszysz?  
 Ach, gdybyś Ty miał gusta myszy,  
 to prędzej sambyś uległ śmierci  
 nimby kot dotknął mojej sierści,  
 co jest jak jedwab, jak atłasy;  
 bo ja z królewskiej jestem rasy.  
 Jam nie jako myszy inne,  
 ciałeczko moje pulchne, zwinne,  
 nosek, to jakby wonny kwiatek,  
 a uszka, są jak róży płatek.  
 Łapki maleńkie, miękkie, białe,  
 a oczka, zębki — skarby całe.  
 Psst... mały pyszczku filuterny!  
 Prawda, że opis mój jest wierny  
 lecz trzeba wspomnieć i o duszy.  
 Głos mój głuchego nawet wzruszy,  
 bo śpiewam tak, jak Katalani.  
 Dla naszych głosów podobieństwa,  
 zwano mnie nawet Ciapcia-lani,  
 bom już śpiewała od maleństwa.  
 Imię troszeczkę przemienione,  
 bo słowo „Kata“ jest spokrewnione  
 z „kotem“, do tego zaś imienia,  
 wstręt wśród mysiego jest plemienia.  
 „Lani“ i „Ciapcia“ wszak brzmi słodziej:  
 o ciepłym puszkę myśl przywodzi.  
 I teraz śpiew, jak harfy dźwięk,  
 jak fletu ton, jak skrzypców jęk,  
 błaganiem pierś podnosi małą:  
 „Ach, ocal Panie myszkę białą!  
 Ty, coś dozwolił by mąż miły  
 w czapce Twej spędził resztę nocy;  
 Ty, coś kamieniem z całej siły  
 rzucił, aż kot się zląkł Twej mocy;  
 jeszcze raz weź nas pod opiekę  
 i przenieś jutro nas przez rzekę!“  
 Choć rycerz nie dba o nagrodę,  
 lecz ja wdzięczności mej dowiodę;

i na zadatek w nocnej ciszy —  
choć nie przystoi to dla myszy,  
co jest potężnych królów córką,  
księżniczką Ciapcią — Gryziwiórką  
za okazany nam ratunek  
złożę w Twe uszko pocałunek.

To rzekłszy, maleńka Ciapcia wdzięcznie pochyliła się nad Gdakaczem i delikatnie pocałowała go w sam koniuszek ucha. Potem nasłuchiwała przez chwilę, a że Gdakacz przez sen mruczał i chrapał, Ciapcia zrozumiała, że w mysim języku obiecuje zaopiekować się niemi i spełnić wszystko, o co go prosiła. Uradowana, jak strzała zbiegła do baraniej czapki i opowiedziała swojemu mężowi, że prośba jej została wysłuchana. Wzruszony Ciapusiś ucałował ją za to serdecznie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nareszcie noc się skończyła, a wschodzący dzień powitał Alektrjo, jak na trębacza zamkowego przystało. Wyciągnął szyję i zapał po trzykroć tak donośnie, że Gdakacz i Gdakula zbudzili się natychmiast, Gdakuleńka tylko spała dalej.

Przetarłszy oczy, Gdakula spytała męża, dlaczego spał tak niespokojnie i czy pamięta, że mu się śniło, że go ktoś w ucho ukąsił. Na to Gdakacz pokazał jej myszki przytulone do siebie w baraniej czapce i opowiedział, jak stworzonka te przed kotem schowały się do jego rękawa i jak potem mu się śniło, że jedna myszka żądała zaopiekowania się niemi w bardzo niegrzeczny sposób i w dodatku ukąsiła go w ucho, a druga zato tak ślicznie przemawiała i tak czule w zranione ucho go pocałowała, że obiecał wypełnić jej prośbę.

— Trzeba to nawet będzie zaraz zrobić — dodał Gdakacz. — Dojdę do najbliższej rzeki i przeniosę myszki na drugi brzeg; tam będą już zupełnie bezpieczne.

To powiedziawszy zaczął przygotowywać się do drogi. Gdakuli nie podobało się to wcale:

— Dobry sobie jesteś! — krzyknęła z niezadowoleniem. — Coś ci się przyśniło, że coś obiecywałeś jakimś tam myszom i dlatego zabierasz się na cały dzień z domu. Czy masz sumienie zostawić mnie i Gdakusię w takiej puszczy i to na samym początku, kiedy należałoby wszystko do jakiegoś ładu doprowadzić!?

— Napozór masz słusność moja Gdakulo — odpowiedział Gdakacz spokojnie — ale wiesz, że raz dane przyrzeczenie cofnąć się nie da, a ja tym myszkom dałem słowo honoru, że im pomogę się dostać do domu. To pamiętam tak dokładnie, jak to, że mnie jedna z nich ukąsiła w ucho.

— No dobrze — odparła Gdakula — ale skoro to, że cię myszka ukąsiła, był tylko sen, to i twoje słowo honoru było także snem i wcale się nie liczy!

— Ta, ta, ta, — burknął rozgniewany Gdakacz — słowo honoru się zawsze liczy, a ukąszenie pamiętam doskonale, bo mnie dotąd ucho piecze.

— Pozwól niech zobaczę — rzekła Gdakula, ale jakież było jej zdziwienie, gdy na prawem uchu Gdakacza odkryła ślad pięciu ostrych zębów mysich. Gdy to powiedziała mężowi, ten zerwał się na równe nogi, chwycił laskę i czapkę, potem odkroił kromkę razowego chleba, którą wsunął do kieszeni i rzekł:

— Gdakulo, posprzątaj starannie mieszkanie, rozejrzyj się po całym zamku, a potem powiesz, jakie zmiany chciałabyś w nim zaprowadzić. Poza tem uważaj na Alektrja i Gallinę, bo jak ci mówiłem, kot zakradł się dzisiaj do naszego kurnika. Po południu zapewne powrócę.

To powiedziawszy, Gdakacz ujął laskę w prawą rękę, lewą wsunął sobie w zanadrze baranią czapkę z myszami, które pisnęły ku niemu radośnie, poczem wielkimi krokami podążył przez las, ku rzece.

Uszedłszy tak mil kilka, zatrzymał się nad małym źródelkiem. Tu odpoczął i zjadł swój chleb, a okruszki dał zgłodniałym myszkom. Doszedłszy wkońcu nad rzekę, zamyslił się nad sposobem przedostania się na brzeg przeciwny. Rzeka była szeroka, a jak okiem sięgnąć, nigdzie żadnego mostu. Gdakacz szedł tam i zpowrotem, wkońcu znalazł miejsce węższe, przez które mógł z łatwością przerzucić ka-



mień. Tu postanowił wysadzić myszki. Wyjął z zanadru baranią czapkę i rzekł:

— Bądźcie zdrowi, drodzy goście moi! Ty królewiczu Wędzokogryzku na Mysiogrodzie, naucz się lepszych manier, a ty maleńka Ciapciu Gryziwiórko, nie wyobrażaj sobie, że jesteś ósmym cudem świata. Poza tem jesteś najmilszym stworzonkiem pod słońcem. Do widzenia, zwierzątka moje śliczne. Pozdrówcie waszych krewnych ode mnie i zachowajcie w pamięci biednego, starego Gdakacza, księcia na zamku kurnickim.

Myszki przyglądały mu się uważnie i choć nie rozumiały ani słowa z jego przemowy, domyśliły się, iż dotychczasowy opiekun żegna się z nimi. Widząc jednak, że na rzece niema ani mostu, ani czołna żadnego, zaniepokoiły się bardzo i piszcząc w czapce dopytywały się Gdakacza, co zamierza z nimi zrobić. Gdakacz nie rozumiał o co im idzie, zawinął myszki mocno w czapkę i dobrze się rozmachnąwszy, przetrzucił je szczęśliwie na drugi brzeg rzeki, gdzie czapka upadła w bujną, zieloną trawę.

Padając, czapka się roztworzyła, a wtedy myszki pisnęły głośno, jeszcze raz zapytując Gdakacza, w jaki sposób przeniesie je na drugą stronę rzeki, gdy nagle ze zdumieniem spostrzegły, że już są na swoim brzegu. Ogromnie się uradowały i czem prędzej pomknęły do Mysiogrodu, gdzie rodzice i goście weselni oczekiwali ich z niepokojem.

Kiedy Gdakacz powracał do domu, spotkał w lesie trzech handlarzy, którzy byli wielkimi miłośnikami przyrody.

Jeden wiódł na postronku starego, chudego capa, drugi jeszcze chudsza kozę. Myśląc, że idą na jarmark, Gdakacz chciał ich minąć, gdy naraz jeden z handlarzy zatrzymał go, zapytując:

— Czy to wy jesteście dziedzicem tego starego zamku w lesie?

— Tak — odparł Gdakacz — jestem księciem Gdakaczem na zamku kurnickim.

Wtedy zapytali go handlarze, czy nie zechciałby im oddać swego koguta, wzamian za starego capa. Ale Gdakacz się obruszył:

— Nie — odparł stanowczo. — Co mi po waszym capie? Czy capa mogę zamianować marszałkiem dworu? Mój kogut nie jest zwyczajnym kogutem. On jest kogutem herbowym, rycerskim. Ojciec jego piał na grobie mojego ojca, a on zapieje na moim grobie. Bywajcie zdrowi!

Ale handlarze nie dali za wygraną. Kogut był im potrzebny; gotowi byli ofiarować za niego kozę, a nawet capa i kozę. Gdakacz wyśmiał ich i poszedł dalej, a kupcy wołali za nim jeszcze:

— My za cztery tygodnie będziemy szli tą samą drogą, to może wy wtenczas będziecie chcieli koguta sprzedać. Namyślcie się!

Przed nocą wrócił Gdakacz do domu, a nazajutrz zabrał się z takim zapałem do urządzenia się w opuszczonym zamczysku, jakby tu na wieki pozostać mieli.

Najpierw skopał najżyźniejszy kawałek ziemi i zrobił kilka grządek, na których Gdakula zasiała nasiona, zebrane z różnych roślin warzywnych i ogrodowych, napół dziko rosnących w różnych kątach zamczyska.

I dla Gdakusi znalazła się robota. Gdakacz naciął sporo prętów wierzbowych i kazał je Gdakusi dobrze namoczyć w źródelku, bijącym w samym środku zamkowego podwórca. Potem, gdy pręty już uzyskały pożądaną giętkość, nauczył ją pleść koszyki, które na nowem gospodarstwie bardzo były potrzebne. Przedewszystkiem szło o wyplecenie dużego koszyka, w którymby Gallina mogła wysiadywać kurczęta. Ale z roboty Gdakusi niewielka była pociecha. Był to sobie mały urwisz, w miarę łakomy i ciekawy. Nie było dla niej większej

przyjemności, jak drapać się po drzewach, zaglądać do gniazd ptasich, wic wianeczki z różnobarwnych kwiatów i objadać się leśnemi jagodami. Robotę zadaną przez ojca odrabiała tak niedbale, że aż Alektrjo parę razy zapał z oburzenia. Przestraszona Gdakusia wracała do ponownej roboty, ale w głębi duszy niecierpiała Alektrja i zawsze się przed matką skarżyła na niego.

Gdakula także nie lubiła Alektrja. Ile razy znużona robotą w ogrodzie, przysiadłszy na kamieniu zaczynała marzyć o piekarniach, cukierniach i sklepach masarskich w Jagrodzie, Alektrjo, który, jako marszałek dworu, wszystkim lubił następować na pięty i zaglądał w kąt każdy, zaczynał pisać znacząco i to jednym, to drugim okiem zerkał w stronę grządek, nawołując ją do roboty. Kiedyś znowu Gdakula zapomniała odmienić wodę Gallinie i dać jej ziarna i siedząc nad niewyplewioną grządką zdrzemnęła się na dobre. Właśnie przysniła jej się rumiana pieczeń husarska i wielki kołacz z taką wyrazistością, że uradowana wykrzyknęła przez sen, z zachwytem: — „Ach co za szczęście, że to nie sen, tylko prawda!“ — gdy nagle Alektrjo zapał jej w samo ucho tak przeraźliwie, że Gdakula ocknęła się i z przestrachu przewróciła się na twardą, kamienistą ziemię. Od tego czasu nienawidziła Alektrja; ile razy nawinął się jej pod rękę, wypędzała go na dwór i byłaby mu z rozkoszą ukręciła łebek, gdyby nie obawa przed Gdakaczem, który w Alektrju i Gallinie tyle pokładał nadziei.

Gdakacz spędzał dni całe na polowaniu. Wracał dopiero na noc, obładowany artykułami spożywczeimi i różnemi sprzętami niezbędnymi w ich małym gospodarstwie. Przedmioty te drogą zamiany otrzymywał z miasteczka za zwierzynę upolowaną w ciągu dnia. Alektrjo, ujrzawszy zdaleka nadchodzącego pana, wybiegał naprzeciw i bijąc skrzydłami krokoszył i piał jakby chciał oskarżyć Gdakusię i Gdakulę

o lenistwo i niedbalstwo. Gdakula i Gdakuleńka skarżyły się znowu na Alektrja, tak, że Gdakacz, chcąc dowiedzieć się prawdy, zmuszony był przeprowadzić surowe śledztwo. Wynik śledztwa wykazywał zawsze słuszność oskarżeń Alektrja i Gdakacz martwił się i łajał, a Gdakula i Gdakuleńka z dniem każdym bardziej nienawidziły koguta.

W czasie tej wojny domowej Gallina zносиła jajka, a gdy już złożyła trzydzieści, kwocząc zaczęła je wysiadywać. Właśnie w tym czasie Gdakacz rozgniewał się na Gdakulę, kiedy mu robiła wyrzuty, że ptakom drapieżnym nie chce w zamku wynająć mieszkania.

Ponieważ lada dzień spodziewano się wykłucia kurcząt, Gdakacz postanowił wybrać się do pobliskiego miasteczka, ażeby kupić prosa dla kwoki i jej piskląt. Biedaczysko nie posiadał się z radości, co chwila jednak nakazywał to Gdakuli, to Gdakuleńce, żeby oka nie spuszczały z kwoki i czuwały, żeby jej na niczem nie zbywało. Chcąc prędzej być zpowrotem, Gdakacz wyszedł z domu rychło po północy.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, imć Gdakula chyłkiem zbliżyła się do śpiącego jeszcze na lancy Alektrja, obiema rękami chwyciła go i wpakowała do ciemnego worka, który mocno związała sznurkiem. Uszczęśliwiona, że narzeczcie wyśpi się do woli, bo Alektrjo, nie widząc świtu porannego, pianiem swoim nie będzie napędzał jej do roboty, wgrzebała się napowrót na swój tapczan i za chwilę chrapała jak zabita.

Zato Gdakusia zbudziła się niezwykle wcześnie i odrazu zerwała się na nóżki. Oddawna już marzyła o tem, żeby ojciec na dłuższy czas oddalił się z domu. Myszkując po wszystkich kątach ruin, odkryła w najodleglejszym skrzydle zamku dużą, czarną kotkę z siedmiorgiem kociąt. Wiedząc, że rodzice mają jakieś uprzedzenie do kotów, ani słowem

nie zdradziła się, ani przed ojcem, ani przed matką, ale każdą wolną chwilę spędzała na zabawie z kociętami, którymi się nacieszyć nie mogła.

Dziś cieszyła się bardzo, wiedząc, że matka śpi, a Alektrjo nie zdradzi jej pianiem, bo matka wsadziła go do worka. Już zamierzała wybiec z kurnika, gdy nagle rzuciwszy okiem na koszyk, w którym Gallina siedziała na jajach, stanęła jak wryta ze zdumienia. Bo oto ze wszystkich jaj zrobiły się małe, żółciutkie kurczątko, które z pod szeroko rozpostartych skrzydeł Galliny wysuwały śliczne maleńkie główeczki z białymi dzióbkami. Pierwszą myślą Gdakusi było obudzić matkę, ale bojąc się, że Gdakula nie pozwoli jej pójść do kociąt, postanowiła najpierw pobiec do nich i opowiedzieć im o szczęściu, które ją i rodziców spotkało. Była pewna, że kotka i kocięta będą się także cieszyć z wyklucia się kurczątek.

Jak strzała pobiegła do załomu w murze, zamieszkałego przez kotkę z kociętami. Kiedy kotka wyszła naprzeciw niej, wyginając w kłębek grzbiet i ogon na znak powitania i mrużąc zaczęła się ocierać o nóżki Gdakusi, uszczęśliwiona Gdakusia rzekła:

— Ach, kochana Szuri-Muri! Gallina ma 30-ro ślicznych, malutkich dzieci, a żadne nie jest większe od myszki.

Kotka usłyszawszy te słowa, tak gwałtownie zapragnęła ujrzeć kurczęta, że aż jej oczy zabłysły jak rozżarzone węgle. Widząc to, Gdakusia powiedziała:

— Słuchaj kiciu, jeżeli będziesz bardzo grzeczna i jeżeli obiecasz mi, że nie będziesz wcale miauczeć, to zabiorę cię ze sobą i pokażę ci malutkie kurczątko. Tylko pamiętaj wsunąć się cichutko, żeby się mama nie obudziła. Kocięta mogą także pójść z nami. Kurczątko napewno ucieszą się, że będą się miały z kim bawić.

Szuri-Muri otworzyła pyszczek i miauknęła z radości, poczem razem z kociętami pośpieszyła za Gdakuleńką do kurnika. Kiedy już były przed drzwiami, Gdakuleńka upomniała je raz jeszcze, żeby sprawowały się bardzo cicho i ostrożnie drzwi odemknęła. Na to czekała Szuri-Muri. Ujrzawszy Gallinę w otoczeniu kurczątek, od drzwi dała ogromnego susa i w mgnieniu oka zębami i pazurami szarpała już zwłoki uduszonej Galliny. Kocięta poszły za jej przykładem i równie szybko zadławiły gromadkę kurczątek.

Na rozpaczliwy krzyk Gdakusi i konającej Galliny, przebudziła się Gdakula i z przerażeniem ujrzała straszny mord, dokonany na kurze i kurczątkach oczekiwanych z takim upragnieniem przez jej męża. Ale zanim Gdakula zdążyła się zerwać z tapczana, kotka i kocięta unosząc w pyszczku każde swoją zdobycz, pouciekały na dwór.

Strach, co się działo w kurniku. Gdakula i Gdakuleńka szlochały, łamały ręce i wyrzekały w głos, a nieszczęśliwy Alektrjo, który związany w worku słyszał rozpaczliwy krzyk mordowanej Galliny i pisk maleńkich dziątek, darł się i bił skrzydłami w worku. Gdakusia ginęła z przerażenia na myśl o gniewie ojca i karze, która ją spotka. Łkając obejmowała kolana matki i powtarzała ciągle:

— Ach, co tatko powie! co tatko powie! Ach, tatko mnie zabije! Mamo! matusiu złota, ratuj biedną Gdakuleńkę!

Imć Gdakula niemniej była przerażona od Gdakusi i niemniej obawiała się gniewu Gdakacza. Bo najpierw, nie chcąc dziecku robić przykrości, udawała, że nic nie wie o kryjówce kotów, a po wtóre, własnymi rękami wpakowała do worka czujnego Alektrja, któryby nigdy nie dopuścił do tego, co się stało. Gdy się tak zastanawiała nad ogromem swej winy, przyszła jej nagle brzydka myśl do głowy, żeby oskarżyć Alektrja o zamordowanie Galliny i kurczątek. Chciała tym

sposobem zwrócić cały przewidywany gniew Gdakacza przeciw znieawidzonemu kogutowi, który, jak sądziła, był zarazem jedynym świadkiem ich winy.

Gdakula nie namyślała się długo. W jedną rękę chwyciła worek z Alektrjem, drugą wzięła za rączkę Gdakusię:

— Chodź córuchno — rzekła — pójdziemy naprzeciw ojca i powiemy mu, że to Alektrjo pożarł Gallinę i kurczątką.

Nie mówiąc nic więcej, zagłębiły się w gąszcz, wypatrując Gdakacza, który od kilku godzin polował, chcąc zwierzyinę wymienić na proso dla kwoki i kurczątka.

Poprzez zielone gałęzie drzew dojrzały wreszcie zgarbioną jego postać. Gdakacz zajęty był wyjmowaniem pary bekasów, schwytanych w zastawiony potrzask. Na widok Gdakacza, Gdakula i Gdakuleńka zaczęły głośno lamentować. Usłyszawszy ich głosy Gdakacz krzyknął zdaleka:

— Bogu dzięki! domyślam się, że Gallina wywiodła szczęśliwie 30 kurczątka! Pewnie z radości nie możecie łez powstrzymać.

— Ach! — jęknęła imć Gdakula — ach! tak... tylko że...

— Cóż takiego? — czegoż właściwie płaczecie? Trzydzieści kurczątka, toż to majątek cały! Pomyślcie jeżeli każde z nich wysiedzi znowu 30 kurczątka, to za rok będziemy mieli 900 kurczątka!

— Ach! zaszłochała znowu Gdakula — ach tak... tylko że...

— Wszystkie są zółciutki! I wszystkie mają malutkie czubki na łebkach! — zaśmiał się radośnie Gdakacz.

A na to Gdakula:

— O doloż nieszczęśliwa nasza! Twój ukochany kogut nikczemnie nas zdradził. W oczach naszych pożarł żonę swoją Gallinę i wszystkie świeżo wylęgłe i przyszłe nasze kurczątką. Z trudem udało mi się go pochwycić i wsadzić do worka. Ukarz go jak na to zasłużył, ja nie chcę go więcej widzieć na oczy!!

Powiedziawszy to, Gdakula rzuciła worek z kogutem pod nogi skamieniałego z przerażenia Gdakacza.

Straszna ta wiadomość spadła na niego tak niespodziewanie, że zdawało się, że biedaczysko zmysły postradał z rozpacz:

— Ach! — szepnął wkońcu z wysiłkiem — wszystko stracone! szczęście opuściło ród Gdakaczów na zawsze. I na to czciłem Alektrja ponad ludzi i zwierzęta, ażeby taką nie wdzięcznością zapłacił mi za przywiązanie moje. Jak niegodnie oszukał nie tylko mnie, ale przodków i potomków naszych. Ach, czemuż nie wymieniłem go wczoraj na kozę i capa, które mi za niego ofiarowywano. Posiadalibyśmy choć coś swojego... a teraz...

Gdy Gdakula usłyszała, że mąż mógł tak doskonale sprzedać koguta, bardzo się rozgniewała i zaczęła mu czynić gorzkie wymówki. Gdakacz posmutniał jeszcze bardziej, a potem wyjął z zanadru swoje dokumenta szlacheckie, wypisane na starym kawałku pergaminu i rzekł:

— Gdakulo! teraz mogę ci wyjawić, dlaczego taką czcią otaczałem Alektrja. Przyjrzyj się tej bukszpanowej paczce, tu na dole jest odcisnięta w wosku pieczęć herbowa książąt Gdakaczów. Na samym środku tarczy herbowej wyryto wizerunek niegodnego Alektrja, a wokoło widnieje napis, za ledwie gdzie niegdzie zatarty. Wierząc w przepowiednię, wyrażoną w tym napisie, wszyscy moi przodkowie i ja wraz z nimi, oczekiwaliśmy wielkiego szczęścia, które nas miało spotkać, za jego pośrednictwem.

I Gdakacz wyczytał następujący napis wyryty na pieczęci:



„LOS GDAKACZOM DAWAKURWZAMIAN-  
BIERZESKON“

ŁebMutnij

GardzielRzeź

KlejnotDzierż

MocęśJał

Ledwie te słowa wymówił, gdy z pod ziemi wyrosli trzej handlarze, ci sami, którzy dnia poprzedniego chcieli nabyć od niego koguta.

— Co Jaśnie Wielmożny Pan Książę Gdakacz sobie życzy? — zapytali Gdakacza wszyscy naraz.

— A czegoż ja mam sobie życzyć? — odparł Gdakacz, nie rozumiejąc ich zapytania.

— No, my słyszeli jak Jaśnie Pan Książę, wołał Łebmutnij, Gardzielrzeź, Klejnotdzierż, a to są nasze imiona. Może Jaśnie Pan Książę chce, żeby my jego herb na pieczętce wryli, bo my jesteśmy rytownicy. My widzimy, że Jaśnie Pan Książę trzyma w ręku skrzynkę ze swoim herbem.

— Ach! — westchnął Gdakacz. — Najlepiejby było zniszczyć ten nieszczęsny herb. Herb mój niema dla mnie już żadnej wartości, skoro kogut mój Alektrjo, którego wizerunek jest tu wryty, tak niegodnie nas oszukał — i Gdakacz opowiedział handlarzom, jakie go spotkało nieszczęście.

— No widzi Pan Książę, jak my dobrze Księciu Panu życzyli, jak my chcieli od Pana Księcia tego koguta kupić — rzekli na to kupcy. — Czy my nie mówili, że może Pan Książę jeszcze sam będzie prosił, żeby tego koguta kto kupił, a jego nikt kupić nie zechce?

— Wyście mi to mówili? — rzekł zdziwiony Gdakacz — a skądżeście mogli wiedzieć, że mnie takie nieszczęście spotka?

Na to rzekł jeden kupiec:

— Ach, my dużo rzeczy wiedzieli. My wszystko wiedzieli. My wiedzieli, że to szczęście, co jest tam na pieczęci wypisane, może się u Wielmożnego Księcia na nieszczęście przemienić. Pieczęć tę zrobili nasi pradziadowie i dlatego tam są podpisane ich imiona: Łebmutnij, Gardzielrzeź, Klejnotdzierż, a że za tę pieczęć oni dostali dużo pieniędzy, tak oni podpisali jeszcze „MocEśJał“. No, jak my też usłyszeli, że Pan Książę jest teraz w biedzie, to my chcieli z wdzięczności, że pradziadkowie Księcia naszym pradziadkom dobry zarobek dali, od Pana Księcia tego koguta kupić, żeby się też wróżba szczęśliwa na nieszczęśliwą nie przemieniła.

— Skądże wam to mogło przyjść do głowy, przecież wyraźnie tutaj napisane, że:

Los...	skon...
Gdakaczom...	ŁebMutnij
dawa	GardzielRzeź
kur...	KlejnotDzierż
wzamian	MocEśJał
bierze	

Gdzież więc mowa o nieszczęściu?

— He, he! — zaśmiali się kupcy — ta wróżba jest tajemnicza, jak wszystkie wróżby. Ale my jesteśmy rytownicy i my się na tem lepiej rozumiemy, niż zwyczajni ludzie. Czasem się doda literę za dużo, a czasem się zrobi literę za mało. Tutaj jest opuszczona jedna litera, to miało być tak:

„Los — Gdakaczom — dawa — kura — wzamian —  
bierze skon...“

no i czy to nie jest prawda; czy ona nie niosła Księciu Gdakaczowi jajek, czy ona nie niosła kurczątek? a czy jajka i kurczątką to nie jest wielki los? A czy to nie jest prawda, że ją samą śmierć wzięła, bo ją zjadł, bo ją pożarł ten hultaj... ten gałgan!...

Słowa te przekonały Gdakacza w zupełności. Westchnął ciężko i zamyslił się, poczem zwrócił się do kupców prosząc, żeby mu teraz dali kozę i capa wzamian za koguta. Ale kupcy ani słyszeć o tem nie chcieli.

— Naco nam taki kogut? — zaczęli wołać jeden przez drugiego — to jest przeklęty kogut! On jest kogut, co sprowadza nieszczęścia, ktoby chciał zjeść takiego koguta? a jakby jego nie zabić, to onby jeszcze mógł ciągle pisać na nieszczęście! No, ale niech Książę Gdakacz jego pokaże, kota w worku się nie kupuje, a co dopiero takiego koguta, my jego musimy najpierw pomacać.

Gdakacz wyjął Alektrja z worka i rzekł ze łzami:

— O! Alektrjo! niewdzięczny Alektrjo! jaki ból srogi zadałeś sercu memu!

Alektrjo zwiesił łebek i skrzydła i był bardzo smutny, ale jak tylko handlarze wyciągnęli ku niemu ręce, chcąc pomacać jego podgardle, Alektrjo wpadł w wściekłość. Pióra jego nastroszyły się groźnie, zaczął kuć dzióbem na wszystkie strony i tak się darł i bił skrzydłami, że przerażeni kupcy umknęli, a Gdakacz z trudnością mógł go utrzymać w rękach.

— Widzicie sami — rzekli kupcy — jaki to dziki potwór. Onby chciał ludzi pożreć. To tak w nim się ciska jego nieczyste sumienie. Ktoby jego był głupi kupować?

Ale kiedy Gdakacz nie przestawał prosić ich coraz błagalniej, żeby kupili Alektrja, kupcy rzekli złośliwie:

— No, jeżeli Wy nam jego odniesiecie, aż do samego naszego domu, to damy Wam za niego dziewięć łokci wstążki, żeby Wasza żona i córka mogły sobie warkocze przepłatać, jak na księżne przystoi.

Gdakacz zgodził się i na to, pragnąc bodaj cośkolwiek otrzymać wzamian za koguta.

Wszystkim tym targom przysłuchiwały się w milczeniu

Gdakula i Gdakuleńka. Wolno, ze smutnie zwieszonymi głowami, zawróciły do domu. Ach, one wiedziały dobrze, że wszystko co mówili handlarze jest wierutnem kłamstwem!...

Gdakacz wziął Alektrja pod pachę i szedł za filozoficznymi rytownikami, którzy mieszkali za lasem. Z początku kupcy szli tuż koło niego, ale Alektrjo tak ich dziobał i bił skrzydłami, że kupcy odsunęli się, nakazując Gdakaczowi, żeby szedł o parę kroków za nimi.

Gdakacz spełnił ich żądanie i idąc w pewnem oddaleniu od kupców, usłyszał jak powtarzali: ty Łebmutnij, ty Gardzielrzeż, ja Klejnotdzierż, poczem zaczęli się kłócić i krzyzczyć. Nie ja Łebmutnij, ja Klejnotdzierż, ty Łebmutnij, ty Gardzielrzeż! — a gdy ich zapytał, dlaczego się swojemi imionami z takim gniewem przezywają, odparli: Aj! żaden z nas nie chce tego koguta zabić, bo on jest taki bardzo wściekły, ale jeżeli Ty jego zabijesz dla nas, to my Tobie podarujemy jego grzebień, jego nogi, jego ogon i jego ostrogi, a Ty to sobie na pamiątkę przypniesz do swojego kapelusza. Idź Ty teraz za jakie drzewo i skręć jemu pocichutku głowę.

— Dobrze, odparł Gdakacz i ujął Alektrja za szyję, ale w tej chwili poczuł w worku koguta coś bardzo twardego; Alektrjo przytem zatrzepotał się tak gwałtownie, że przerażeni kupcy odskoczyli na bok, krzycząc:

— No, idź Ty dalej od nas z tym piekielnikiem.

Gdakacz się oddalił, ale gdy po raz wtóry dotknął szyi Alektrja, znowu wyczuł pod ręką jakiś dziwnie twarde przedmiot, a gdy się namyślał, co to może być takiego, Alektrjo przemówił ludzkim głosem:

Książę Gdakaczu! co ci się śni?

szlachetnej głowy nie skręcaj mi.

Jeśli godzina mej śmierci bije:

mieczem książęcym zetnij mi szyję;

będzie to godny rycerza skon.  
 O hańbo! hańbo! cóż czyni on,  
 mój książe Gdakacz!? a-a-ch!... co za wstyd!  
 z workiem na plecach, jak jaki żyd  
 za oszustami chodzi po lesie —  
 a w worku dla nich, Alektrja niesie!

Gdakacz tak się przeraził, usłyszawszy przemowę Alektrja, że stał przez chwilę jak zdrętwiały. Potem przyszło mu na myśl, że przecież koguta, który mówić umie, nie można sprzedać za 9 łokci wstążki. Krzyknął więc na rytowników, aby skryli się za krzaki rosnące na lewo, podczas gdy on zabija koguta.

Kupcy skoczyli ku krzakom, ale natrafili na jamę, pokrytą zwierzchu gałęziami, czyli na tak zwany „wilczy dół“, wykopany przez Gdakacza i... bęc! wpadli do środka. Przerażeni, zaczęli wołać na Gdakacza, aby ich wydobył z pułapki. Ale Gdakacz nie śpieszył im z pomocą, tylko przykucnął za krzakami niedaleko „wilczego dołu“, bacznie nad słuchując, o czem mówią kupcy.

— Ach! wrzasnął pierwszy — prawdę mówi przysłowie, że kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada. Cały nasz trud, cała nasza robota poszły na marne. Już na zawsze straciliśmy kosztowny klejnot, ukryty w wolu koguta! Pewnie Gdakacz zmiarkował, że wyrazy Łebmutnij, Gardzielrzeż i Klejnotdzierz, nie oznaczają naszych imion, tylko nakazują ściąć głowę kogutowi i wyjąć mu z wola pierścień, z pieczęcią króla Salomona. Gdy się ten pierścień przekręci na palcu, zdobędzie się nie tylko moc, ale i wszystko, czego tylko dusza zapagnie: młodość, bogactwo, szczęście — wszystkie dobra, jakie tylko na świecie są!

Na to krzyknął drugi:

— Biada nam, żeśmy wpadli na tajemnicę tego kamienia, ukrytego w wolu koguta! Biada dziadom naszym, którzy,

poszukując skarbów w rozwalonym zamczysku Gdakaczów, odkryli kamień grobowy z napisem tajemniczym o tym przeklętym klejnocie. Ach gdyby nie oni, żylibyśmy sobie spokojnie — jak dawniej — a teraz ten klejnot wciąż stoi nam w oczach i chwili spokoju nam nie daje!

A trzeci rytownik jęknął:

— O nieszczęsna godzino! Wszystkie wysiłki nasze wniwecz obrócone! Przez lata całe przeplacaliśmy ministrów króla Jajogrodu, żeby skłonili króla do dania dymisji Gdakaczowi! a teraz miałbyśmy cierpieć gorszą nędzę niż ta, do której jęgośmy doprowadzili? Ach, gdy pomyślę, że za takie tanie pieniądze mogliśmy koguta mieć w naszych rękach! Aj! aj! tyle pracy, tyle trudu nadaremnie! Przecież dlatego nasi dziadowie nauczyli się rytownictwa, ażeby móc przeczytać napis pieczęci! Wszystko, wszystko stracone! Gdakacz wyśmiewa nas, żeśmy wpadli do tej dziury! Ach, gdybyśmy przynajmniej z tej niewoli mogli się wydostać! Aj! nieszczęście! nieszczęście! Kto mi teraz zapłaci za kocicę z siedmiu kociećami, którą za własne pieniądze kupilem i sam zaniósłem do zamku, aby zjadła Gallinę i jej kurczęta!? Ach ja zgóry wiedziałem, że ta głupia baba na koguta złoży całą winę i że Gdakacz go znienawidzi! Kto mi zapłaci za mojego kota? Ja chcę dostać moje pieniądze za kota! Ja mogłem ściągnąć z kota skórę i sprzedać go za zajaca, a skórę mogłem sprzedać osobno. Aj! aj! od kogo ja odbiorę pieniądze za mojego kota!!!

Gdakacz ukryty za krzakiem nie mógł się dłużej powstrzymać i parsknął serdecznym śmiechem. Lamentujący rytownik myślał, że to któryś z towarzyszy wyśmiewa się z niego i zaczął bić swojego sąsiada. Ten wrzasnął z bólu tłumacząc, że mu się nawet nie śniło śmiać z nikogo. Zapalczywy rytownik rzucił się więc ku drugiemu towarzyszowi i wniósł zawrzała zażarta bójka między trzema przyjaciółmi. Nie

zwracając uwagi na nich, Gdakacz zabrał Alektrja i z wolna zaczął iść ku zamkowi.

Dziwnie był smutny i zasepiony. Ze słów trzech rytowników dowiedział się bardzo wielu rzeczy. Jasnym było teraz dla niego, że Gdakula i Gdakuleńka go okłamały, dalej, że istnieje napis jakiś starożytny, wyryty na kamieniu grobowym w zamku jego, dalej, że tajemniczy klejnot dziwnym trafem znajduje się w wolu Alektrja i wkońcu, że wszyscy trzej rytownicy są nędznymi oszustami. Dziwnie mu było przykro i smutno. Czuł, że jeden Alektrjo może zrozumieć go w tej chwili, więc raz po raz tulił go do siebie szepcząc: „Ach! drogi mój szlachetny Alektrjo! Choćbyś miał w swoim wolu 10 pierścieni z pieczęciami króla Salomona, nigdy dłoń moja nie targnie się na ciebie; dopóki żyje Gdakacz na zamku kurnickim, żadna nie spotka cię krzywda“ — i Gdakacz wyjął kromkę chleba z kieszeni i podrobił kawałek, chcąc nakarmić koguta, ale Alektrjo wstrząsnął smutnie głową i rzekł:

Alektrjo chleba nie będzie jeść,  
gdy stracił druha, żonę i cześć.  
Straszny go przygniół ogrom boleści,  
kocur mu pożarł dziątek trzydzieści!  
I Alektrjowi umrzeć sądzono,  
bo za dziatkami tęskni — za żoną.  
Lecz zanim zginie śmiercią rycerza,  
ostatnią prośbę tobie powierza.  
Zmyj hańbę książę! napraw swój błąd,  
w ruinach zamku obwołaj sąd,  
w piersi swej obudź szlachetny gniew,  
gdy sądzić będziesz niewinnych krew.  
Dłoń boża wskaże kogo należy,  
a sprawiedliwość mój pan wymierzy.  
Alektrjo póty będzie zgnębiony,  
aż pomści dziątek swych śmierć i żony.

A potem zginie sam śmiercią godną,  
głowę pod miecz stal odda chłodną.  
Lecz zgonem swoim was rozweseli  
bo czarnoksięską moc ma w gardzieli.

— O mój Alektrjo! — rzekł Gdakacz ze łzami. Straszny sąd odbędzie się nad kotem i potomstwem jego! Śmierć żony twojej i dzieciak będzie pomszczona! Jeżeli szczątki jakie z nich pozostały, zbierzemy je i godnym uczymy pogrzebem. Ale ty, ukochany mój giermku, musisz pozostać przy mnie na zawsze.

Ale Alektrjo ciągle powtarzał, że dłużej żyć nie będzie, a gdyby Gdakacz nie zechciał go zabić, to zagłodzi się dobrowolnie. Prosił, żeby Gdakacz odszukał płytę grobową zamku, na której znajdzie wyjaśnienie wszystkiego i żeby spełnił to, co napis uczynić mu nakaze. Znać było, że Alektrjo jest tak nieszczęściem swoim złamany, że śmierć z ręki Gdakacza przyjmie jak największą łaskę.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Późno w noc dotarł Gdakacz do zamku. Gdakula i Gdaku-  
leńka spały już oddawna; nie oczekiwały powrotu Gdakacza,  
sądząc, że poszedł z kupcami do miasta. Gdakacz ostrożnie  
zbliżył się do kryjówki kotów, którą mu wskazał Alektrjo  
i zanim koty zdążyły miauknąć pochwycił je i wsadził do  
tego samego wora, w którym Gdakula poprzednio więziła  
Alektrja.

Trudno opisać jak cierpieli Alektrjo i Gdakacz, gdy ujrzeli  
niewinne szczątki zamordowanej Galliny i jej kurczątek,  
i kosteczki i piórka rozrzucone dokoła legowiska kocura.  
Obaj płakali gorzkiemi łzami, poczem Alektrjo dziobem po-  
zbierał wszystkie piórka i kostki i złożył je na jedną kupkę.

Ukończywszy tę bolesną czynność, Alektrjo dał znak  
Gdakaczowi i zawiódł go do opuszczonej kaplicy zamkowej  
i tu przed wielkim ołtarzem zaczął gwałtownie grzebać zie-  
mię i kamienie we wskazanem miejscu. Wkrótce odsłoniła  
się duża płyta marmurowa. Nie bez trudu odczytał Gdakacz  
napis, który głosił, że w dawnych czasach jeden z przodków  
Gdakacza na zamku kurnickim stał się właścicielem czaro-  
dziejskiego pierścienia króla Salomona. Gdy jednak nieprzy-  
jaciele niespodzianie wtargnęli do zamku, kogut domowy  
bojąc się, by pierścień nie dostał się w ręce napastników,  
połknął go. Pobożny Gdakacz nie chciał mu jednak życia ode-

brać, bo w rodzie Gdakaczów istniało święte prawo zabraniające zabijania koguta, dopóki kogut sam śmierci nie zażąda.

Przeczytawszy ten napis, Gdakacz rzekł do Alektrja:

— Możesz sam przeczytać wszystko, drogi mój Alektrjo! Dowiesz się z tego napisu, że nie wolno mi ciebie zabijać. Ale powiedz mi, mój ptaku kochany, jakim sposobem ten klejnot czarodziejski dostał się w twoje posiadanie?

Na to odpowiedział Alektrjo:

Mój pradziad przed śmiercią, gdy uczuł się senny, to z dzioba wyrzucił ten klejnot bezcenny i zaraz go połknął mój dziad.

Gdy dziad mój przed śmiercią znów uczuł się senny, to z dzioba mu wypadł ten klejnot bezcenny i rodzic połknął go mój.

Mój ojciec przed śmiercią, gdy uczuł się senny, sam z dzioba wydobył ten klejnot bezcenny i kazał go połknąć mnie.

Alektrjo też umrze, choć smutny, nie senny i z dzioba mu wyjmą ten klejnot bezcenny książęce ręce twe.

Gallina martwa, dziatki nieżywe

O losy! losy me nieszczęśliwe,

Alektrjo chleba nie będzie jeść,

Gdy stracił dziatki, żonę i cześć,

I prosi tylko o jedną rzecz:

Niech głowę jego twój utnie miecz,

Alektrjo o tem oddawna wie,

że wróżba na nim wypełni się!

— Niech się więc stanie podług twojej woli — rzekł Gdakacz. Jutro skoro świt, odbędzie się w zamku sąd książęcy; którego wyrok będzie zadośćuczynieniem za śmierć Galliny i dzieciak twoich. A potem, Alektrjo, uczynię czego zażadasz!

To rzekłszy, Gdakacz usiadł na stopniach ołtarza, żeby spocząć na chwilę, podczas gdy Alektrjo spędził resztę nocy na zbieraniu piórek i kosteczek Galliny i kurczątek, które składał ze czcią do mogiłki, wygrzebanej na marmurowej płycie i przytrzymał łapkami piórka, żeby się nie rozlały.

Ledwie dzień zaczęło, Alektrjo wleciał na najwyższy odłamek muru zamkowego i zapiał po trzykroć w przestrzeń a tak przejmująco i groźnie, że głos jego jak dźwięk trąby herolda przeniknął do najskrytszych zakątków zamczyska i przebudził wszystkie ptaszki, które wysunęły łebki z gniazdek chcąc usłyszeć, co zamkowy trębacz ogłasza.

A gdy się dowiedziały, że księżę Gdakacz wzywa je na rozprawę sądową wytoczoną krwiożerczemu kocurowi, zaczęły tysiącami głosów wyrażać swoją radość. Zerwały się z gniazdek, otrząsnęły piórka, wymuskały i wyczyściły dzióbki, żeby łatwiej im było wnosić skargi i zażalenia. Potem posiadały na gzymsach kolumn, w otworach wyrwanych okien, na drzewach i krzakach, czekając na rozpoczęcie rozprawy.

Kiedy już wszystkie ptaszki się zebrały, Alektrjo wkroczył do kurnika, spojrzął na śpiące ciągle jeszcze Gdakulę i Gdakuleńkę, a przypomniawszy sobie, że tu został spełniony mord nad jego żoną i dziećmi, zapiał znowu ze strasznym gniewem i z całej siły uderzył skrzydłami.

Gdakula i Gdakuleńka zerwały się na równe nogi i ujrawszy Alektrja krzyknęły:

— Ach! już znowu się zjawiał ten obrzydliwy Alektrjo! Napewno uciekł ojcu w lesie! Musimy go teraz złapać!

I obie rzuciły się w pogoń za Alektrjem, chcąc go nakryć rozpostartymi fartuszkami, ale Alektrjo wpadł do kapliczki i jakież było zdumienie Gdakuli i Gdakuleńki, gdy w mroku

spostrzegły Gdakacza, siedzącego na stopniach ołtarza i dzierżącego w dłoni olbrzymi zardzewiały miecz.

Gdakula chciała zapytać męża, dlaczego tak wcześniej powrócił, ale Gdakacz spojrział na nią tak groźnie, że słowa zamarły jej na ustach; rozkazującym ruchem ręki wskazał im miejsca, które mają zająć, zanim zostaną powołane przed oblicze trybunału.

Gdakula i Gdakuleńka, przerażone posępnym wyrazem twarzy ojca, usiadły nie śmiejąc spojrzeć na siebie.

Tymczasem Alektrjo chodził tam i zpowrotem zupełnie jak człowiek pogrążony w bolesnych myślach. Znać było, że rozważa jakieś powikłane sprawy. Skrzydła nawet tak opuścił, iż zdawało się, że jak prawdziwy mężczyzna chce je włożyć do kieszeni spodni. Gdakacz natomiast siedział nieruchomo i długą chwilę w skupieniu patrzył przed siebie... żadne z ptaszków poruszyć się nawet nie śmiało...

Nareszcie Gdakacz powstał i kolejno zwróciwszy ostrze miecza ku wszystkim czterem stronom świata, zawołał:

Ni żyw, ni umarły nie wyjdzie stąd,  
aż słuszny nad zbrodnią spełni się sąd.

Słowa te przerwały dumania Alektrja, który wzleciał czem prędzej na ramię Gdakacza i zapiął przenikliwie. Gdakula nie rozumiała, co to znaczy i krzyknęła w największym przestachu:

— Gdakaczu! mężu mój kochany! co ty wyprawiasz? O ja nieszczęśliwa! Gdakaczu! Gdakaczu! czyś ty nie oszalał przypadkiem!?

Ale Gdakacz powtórnie nakazał jej milczenie i zapytał:

— Kto wnosi skargę za śmierć swej żony?

Na to wystąpił Alektrjo z kornie pochylonym łebkiem i rzekł:

— Alektrjo, giermek twój ulubiony!

Ach! jakie przerażenie ogarnęło Gdakulę i Gdakuleńkę, gdy usłyszały, że Alektrjo przemówił. Drżały z trwogi, że teraz wszystkie ich winy wyjdą najaw. I znowu zapytał Gdakacz:

— Alektrjo! jaka twa skarga, mów!

Alektrjo posunął się o krok i stanąwszy nad wygrzebanym grobem, w który złożył szczątki Galliny i kurczątek, rzekł:

Książę! na zbrodnię tę nie mam słów!

Lecz wejrzyj, panie, na te kosteczki!...

To — żona moja, to — me dzieciętki...

Związany — bronić nie miałem sił — — —

kot darł ich ciała, kot krew ich pił — — —

Panie! niech kara odpowie winie:

niech zbrodniarz zginie! zginie! zginie!

kończąc te słowa Alektrjo zapał po trzykroć przejmująco, a Gdakacz rzekł:

Alektrjo! uszom własnym nie wierzę.

Wypełnić prośbę twą pragnę szczerze —

lecz, że nie dalej jak wczoraj rano,

jako mordercę ciebie wskazano:

więc świadków zbrodni zawezwij proszę...

...Ja potem wyrok słuszny ogłoszę.

Na to odpowiedział Alektrjo:

Za to, żem śpiochy budził o świecie:

jeden z nich nocą podszedł mnie skrycie

i dłoń niewieścia, ach! dłoń okrutna

rycerza w worek związała z płótna...

I choć się żonie na pomoc rwałem,

słyszałem śmierć jej, lecz nie widziałem;

więc kto mord widział, niech go opowie.

Za prawdą świadczcie, mili ptaszkuwie!

Na to wszystkie ptaszki zaczęły jedne przez drugie ćwierkać, hukać, klekotać i świergotać. Powstał taki hałas, że Gdakacz musiał zawołać:

Proszę o ciszę, zacni świadkowie!  
Kolejno każdy co wie, opowie...  
Najpierw jaskółka ma głos, bo wcześniej  
wstaje... zmlknijcie świadkowie leśni!

Jaskółka podleciała ku Gdakaczowi i zaczęła mówić:

Pragnę... to jest... nie... nie chcę widzieć wcale,  
jak kocur czarny w swym krwiożerczym szale  
wraz z kociećtami, co fik! w górę skaczą,  
brzdęc! bęc! jak ciałem kokoszki się raczą,  
urr... drr...! jak w strzepy drą żółte piskłeta!  
ach! krwawą była ich uczta przekłeta.  
Ja w przestkach  
skryłam się pod gzymsem dachu  
i z trudem opanować się zdołałam,  
i dzieciom jeden rozdział z pisma świętego opowiedziałam;  
jeden rozdział o jaskółce Tobiasza:  
co to dobrze się kończy, choć z początku przestrasza —  
bo to była pra-pra, pra-pra-babunia nasza.  
I że się też to zdarzyć musiało!  
To straszne, to okrutne, co nietylko ciało  
lecz i duszę napęlnia radość... nie, nie, to jest trwoga.  
Ach! że też to spotkało Gallinę niebogą,  
co to gdaka... gdaka... taka śliczna była  
i dobra, pracowita, czem bądź się karmiła...  
Ach! ach! ach! jakże mi jest źle,  
że nigdy, już nigdy nie ujrzę jej nie  
i że ich gniazdko uwite z sitowia:  
jest puste, puste — nie, nie, nie mam zdrowia  
myśleć o trupkach tych małych kurczątek.  
Ach! każda zbrodnia ma krwawy początek!  
Nie mogę już dłużej o tem mówić nie...

Kwiwit! kwiwit! cir! cir! cie! cie! cie! cie!

Po tem opowiadaniu, z którego prócz jaskółki, nikt zdaje się nic nie zrozumiał, Alektrjo zapiał znowu:

Niech Panie kara odpowie winie:  
niech zbrodniarz zginie! zginie! zginie!

Ale pianie Alektrja wstrząsającym echem odbiło się w duszy Gdakuli i Gdakuleńki: drżały z trwogi i wzruszenia, a Gdakacz rzekł:

Dzięki, jaskółko, żeś świadczyć chciała.  
Lecz teraz oddał się, ptaszyno mała —  
Niechaj świadkowie zbliżą się nowi!  
Hej! zrobić miejsce tu szczygiełkowi!

Śliczny szczygiełek o czerwonym gardziołku podleciał ku ołtarzowi i, usiadłszy na krzaku dzikiej róży, rzekł:

Wyleciałem skoro świt  
na najwyższy drzewa szczyt;  
bo gdy nocy ginie cień,  
piosnką zwykłem witać dzień.

— Wyleciałem skoro świt.

Ledwiem zaczął ranny śpiew  
już zadrżały listki drzew:

promyk słońca na nie padł  
i z uśmiechem przy mnie siadł  
— ledwiem zaczął ranny śpiew.

Gdym tak chwalił Bożą moc,  
w mgłę spłynęła ciemna noc;

spojrzę — a w murach zamczyska  
siedm par oczu groźnie błyska!

— gdym tak chwalił Bożą moc...

Serce bije mi jak młot —  
do kurnika zmierza kot:

pełza cicho — z nim się skrada  
dzikich kociąt zła gromada;

— serce bije mi jak młot!

Jakiś łomot — potem trzask — —  
 przeraźliwy, straszny, wrzask — —  
 lecą koty całą zgrają,  
 mordki krwią im ociekają!  
 — przeraźliwy, straszny wrzask.  
 Jakem się przeraził! jak!  
 w każdej mordce martwy ptak!  
 bez tchu do dom się rzuciłem:  
 piersią dziatki me okryłem  
 — jakem się przeraził! jak!  
 Serce z bólu mi się rwie,  
 Gdy kurczątką wspomnę te...  
 bo to zwykła cecha matki:  
 kochać takie cudne dziatki —  
 więc się z bólu serce rwie.

I znowu zapał Alektrjo:

Panie! niech kara odpowie winie:  
 niech zbrodniarz zginie! zginie! zginie!

Gdakacz powołał jeszcze wielu innych świadków i wszyscy zaczawszy od bociana, a skończywszy na mysikróliku potwierdzili, że mord nad Galliną i kurczątkami został spełniony przez kota i jego potomstwo.

Wtedy Gdakacz zwrócił się do Gdakuli i Gdakuleńki, zapytując, jakim sposobem mogły koty spełnić swój czyn okrutny, skoro Gallina wysiadywała kurczątką tuż koło tapczanu; zapytał także, czemu go okłamały, wskazując na Alektrja jako na winowajcę? Na to Gdakula i Gdakuleńka rzuciły się do jego kolan i, płacząc rzewnie, wyznały całą prawdę, obiecując, że nigdy już więcej tego nie zrobią. Gdakacz odsunął je od siebie i zwróciwszy się do Alektrja, poprosił go o wymierzenie surowej kary obu winowajczyniom.

Szlachetny Alektrjo zrzekł się prawa ukarania winnych i nawet zaczął wstawiać się za nimi, zapewniając Gdakacza,



że nie ma żalu do Gdakuli i Gdakuleńki za wyrządzoną sobie krzywdę. Ale Gdakacz rzekł:

— Nie, nie, mój Alektrjo! Sprawiedliwość musi być wymierzona. Dziś jeszcze na herbie twoim i córki twej, Gdakulo z Kuroszów, wyryję kurzą stopkę w paszczy kota, na wieczne wspomnienie waszego niecnego postępu. Ponadto Gdakusia, która tak lekkomyślnie sprowadziła kocura z kociętami do kurnika, wiedząc dobrze, jak wielkie ściągnąć na nas może nieszczęście, nigdy póki życia, nie ma prawa wziąć lalki do ręki.

Jakże gorzko zaszlochały Gdakula i Gdakuleńka! Ale nie koniec był jeszcze ich udreće, bo oto Gdakacz zwrócił się do ptaków z zapytaniem, czy niema gdzie w pobliżu kata, któryby się zgodził wypełnić wyrok śmierci nad mordercą — kotem i jego dziećmi, na to zawołały ptaszki:

— Jest! jest! jest stary ogromny puhacz! Mieszka tu niedaleko, w dziupli spróchniałego dębu. Ma nawet kilku synów, równie strasznych jak on sam! — I natychmiast puhaczkat został wezwany przed oblicze trybunału.

Za małą chwilę załopotwały skrzydła puhacza, nadlatującego w otoczeniu trzech synów. Na widok tych znienawidzonych drapieżników, kłapiących dziobami i toczących okrągłymi oczami z przeraźliwym hu! hu! — wszystkie mniejsze ptaszki, drżąc ze strachu, powciskały się w szpary i dziury w murze — Gdakusia z krzykiem nakryła się fartuchem matki. Gdakula nawet zasłoniła rękami oczy.

Gdakacz położył worek z kocurem i kociętami na środku kaplicy i dał znak puhaczowi, który podleciał do worka wołając ponuro:

„Puhu! puhu! zgon ci wróże  
morderco, czarny kocurze!  
Za niecne wasze łotrństwo  
giń ty i twoje potomstwo!

Hej dziatki! czasu nie traćcie!  
 lecz śmiercią, za śmierć zapłaćcie!  
 Puhu! puhu! zgon ci wróżę  
 morderco! czarny koczurze!

I wszystkie puhacze rzuciły się na worek, chcąc go rozwiązać i na miejscu wykonać srogi wyrok śmierci. Ale Gdakusia wybuchnęła takim płaczem i krzykiem, że Gdakacz rozkazał puhaczowi wynieść worek poza obręb zamku i w głębi lasu dopełnić wyroku, co też puhacz wypełnił natychmiast.

Kiedy się to straszne widowisko ukończyło, Alektrjo zbliżył się do Gdakacza, prosząc, żeby bezzwłocznie ściał mu głowę.

— Powiedział jeszcze, że ostatnią wolą jego jest, żeby wraz z bolesnemi szczątkami Galliny i piskląt i jego ciało spłonęło na stosie. Raz jeszcze przypomniał Gdakaczowi o czarodziejskim pierścieniu, który książę własnoręcznie powinien wyjąć z jego wola i nauczył Gdakacza czarodziejskiej formuły.

Napróżno Gdakacz usiłował odwrócić myśl Alektrja od śmierci. Alektrjo powtarzał niezmiennie, że w razie jeżeli książę odmówi mu śmierci od miecza, to zamorzy się głodem. Widząc, że nic nie zdoła zmienić jego postanowienia, Gdakacz, choć ze ściśnionem boleśnie sercem, przyrzekł za doścućzynić jego prośbie. Objął po raz ostatni ukochanego koguta i uścisnął go serdecznie, jak brata. Alektrjo wyciągnął szyję, zapiął rzewnym, pożegnalnym głosem. Miecz błysnął w ręku Gdakacza i szlachetna głowa książęcego giermka Alektrja, odcięta od tułowia, potoczyła się do stóp Gdakacza. Obok niej błysnął na ziemi czarodziejski pierścień króla Salomona.

Wszyscy obecni, nie wyłączając ptaszków, płakali rzewnemi łzami. Gdakacz złożył ciało swego przyjaciela na piórkach i kosteczkach Galliny i kurczątek, a ptaszki zaczęły

znosić w dzióbkach zeschłe liście i gałązki chróstu. Wkrótce stos był gotów; Gdakacz skrzesał ognia. Buchnął płomień i wszyscy ujrzeli z podziwem złotą chmurkę w kształcie koguta, która zwolna uniosła się w powietrze.

Jeszcze chwila i z Alektrja, Galliny i kurczątek została tylko maleńka garstka popiołu.

Gdakacz ze czcią przysypał ziemią płytę marmurową, poczem powiedział śliczną mowę pogrzebową treści następującej:

„Kto zaszczeplił męstwo w duszę człowieka? Kto mądrość dał kogutowi? Jak kogut pianiem swem rozprasza mrok nocny, tak człowiek pobożny wnosi prawdę w życie, mówiąc: „Precz z ciemnością! Niech żyje światło!“ Jakże drogocennem jest pianie koguta! Kogut, wierny przyjaciel domu ludzi sennych, napomina niedbałych, pociesza wędrowców a żeglarzom, błędzącym pośród toni morskiej, oznajmia o upragnionym powrocie dnia, wraz z którym cichną burze morskie! Pobożnych wzywa do modlitwy, uczonym przypomina, żeby za dnia ksiąg swoich i papierów szukali. Grzeszników nakłania do skruchy, jak to uczynił ongi z św. Piotrem. Głos jego wlewa nadzieję w serca chorych i zwątpiałych. Lwa nazywają królem zwierząt, bo cały świat drży przed jego siłą, a jednak lew boi się koguta i uchodzi w pustynię, ażeby nie słyszeć jego wrzasku! Tak i wróg nasz, który na podobieństwo czającego się lwa krąży dookoła domu naszego, chcąc napaść nas w ciszy nocnej, uchodzi słysząc pianie koguta, stróża nocnego, który ostrzega nas o grożącym niebezpieczeństwie. Żadne zwierzę, ni ptak, nie jest tak wywyższone jak on! Posąg jego ujrzysz na szczytach wież zamkowych a także nad Męką Pańską, na rozstajnych drogach. Obraz jego ozdobi okładkę elementarza i przypomina dzieciom, żeby wcześniej wstawiały do nauki. Jakież budujący przykład daje nam kogut! Zanim zapieje, by ludzi ze snu zbudzić, sam sie-

bie bije skrzydłami po bokach, jakby dla pokazania, że wielką trzeba wzbudzić w sobie cnotę, zanim się innych pouczać zaczyna. Uczonym ptakiem jest kogut, bo nieraz wznosząc oczy ku niebu, niby astronom, liczy gwiazd miliony! Rycerzem jest kogut! Pióropusz zdobi głowę jego, szyję otacza purpurowa wstęga orderu, pierś jego jest twarda jako pancerz, ostrogi mocne ma u stóp. Wojownikiem jest kogut: żołnierzom towarzyszy we wszystkich wyprawach, jako nie-dościgniony wzór czujności. Gdy zmierzcha, kogut z kurami sadowi się na grzędzie obozowej i natychmiast wychodzi — pierwsza warta. Na trzy godziny przed północą, kogut porusza się — znak, by wyszła warta druga. O północy kogut pieje, przypominając, że czas na zmianę warty trzeciej, o czwartej nad ranem, daje hasło do wymarszu obozu! A jakim kochankiem jest kogut! Damie swego serca nigdy ubliżyć nie pozwoli, walcząc o jej cześć na śmierć lub życie! Królewskim ptakiem jest kogut. Gdy mu przechodzić wypadnie przez bramę, w którąby wszedł bez trudu mąż wysokiego wzrostu, kogut nisko pochyla głowę, bo czując godność swoją, lęka się drogocennym grzebieniem zawadzić o odrzwia. A jak przykładowym mężem i ojcem jest kogut. Kwoce, siedzącej na jajach, szepce do ucha najczulsze piosenki.

A jeżeli los okrutny pozbawi życia towarzyszkę jego, kogut sam siada na gnieździe, wygrzewa jaja, wywodzi pisklęta i nigdy nie pieje nad niemi, pragnąc im jedynie zastąpić utraconą matkę. Jakże uduchowionem stworzeniem jest kogut! Fidjasz ozdobił jego wizerunkiem hełm Minerwy, Idomeneus tarczę swoją! Koguta składano w ofierze słońcu, Merkuremu, Marsowi i Eskulapowi! I któż weźmie za złe starożytnym Magom, że pragnęli zawładnąć Alektrjem, skoro Micyllus, wierzący w wędrowkę dusz, w kogucie swoim rozeznał duszę Pitagorasa, która incognito piała! Ale kogut

jest więcej niż kogutem, skoro oskubany kogut jeszcze niektórym przypomina Platona; i t. d. i t. d.“

Śliczną tę mowę przerywał parę razy głośny płacz Gdakuli i Gdakuleńki. Ptaszki były niemniej wzruszone i co chwila strącały na ziemię łezki, spływające im wzdłuż dzióbków.

Gdakula i Gdakuleńka płakały do późnego wieczora, nie mogąc sobie darować, że z ich winy zginął rycerski Alektrjo i kochana Gallina. Widząc ich szczerą skrucę, Gdakacz przemówił do nich łaskawiej; Gdakula i Gdakuleńka przyrzekły raz jeszcze poprawę, poczem wszyscy razem, odmówiwszy modlitwę wieczorną, ułożyli się do snu na tapczanie w kurniku.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

W nocy Gdakacz się przebudził, a nie mogąc zasnąć zaczął myśleć z wielką tkliwością o Gdakuli, z którą tyle lat przeżył w zgodzie i miłości i o Gdakuleńce, która pomimo wad swoich, była w gruncie rzeczy dobrem dzieckiem. Przypomniawszy sobie, jak straszne chwile przeżyły biedaczki dnia poprzedniego i jak szczerze żałowały za swoją winę. Żal mu się ich zrobiło i postanowił zrobić im jakąś przyjemność. Chcąc wypróbować moc czarnoksięską pierścienia, który wypadł z wola Alektrja, wyjął go z kieszeni, włożył na palec i obracając nim dokoła, tak jak mu nakazał Alektrjo, rzekł:

Mądry królu Salomonie,  
coś miał klejnot ten w koronie,  
jeśli łaska — proszę czule —  
uczyni młodą Imię Gdakule!  
A że starym być jest źle,  
więc zrób młodym także mnie.  
Byśmy z naszej wyszli nędzy:  
daj nam panie huk pieniędzy,  
w Jajogrodu zawieź kraj,  
śliczny nam majątek daj.  
Niech w nim pałac wielki będzie,  
niech się służba zwija wszędzie,  
niech przed ludźmi się poszczyce,  
że mam pełny strych, piwnicę,

niech rzą konie, ryczą krowy;  
 niech i ogród będzie nowy.  
 Wodotryski niech w nim biją,  
 ptaszki niech w nim gniazdka wiją.  
 Daj nam także — jeśli wola —  
 sady, łąki, żyzne pola,  
 stawy rybne, cudny las —  
 i pięknnością obdarz nas.  
 Daj rozumu nam niemało — —  
 zrób z nas panów gębą całą!  
 Kręć się! kręć, pierścionku mój!  
 spełń, co pragnie sługa twój.

Powtarzając to czarnoksięskie zaklęcie i kręcąc bezustannie pierścionkiem, zdrzemnął się Gdakacz na dobre. I śniło mu się, że zbliżył się ku niemu jakiś starszy pan z długą czarną brodą, ubrany z cudzoziemska we wspaniałe, powłóczyście szaty. Pan ten rozłożył przed Gdakaczem olbrzymią księgę, której każda strona ozdobiona była ryciną przedstawiającą: zamki, pałace, ogrody, powozy, konie, naczynia kuchenne i wiele jeszcze innych rzeczy. Pan ten powiedział Gdakaczowi, że może sobie wybrać wszystko, co mu się podoba. Gdakacz zaczął z wielką uwagą oglądać i wybierać obrazki, a wszystko śniło mu się tak wyraźnie, jakby to było naprawdę! Ale gdy doszedł do ostatniej stronicy, pan zatrzasnął mu nagle książkę przed nosem z taką siłą, że Gdakacz przestraszony łoskotem — przebudził się.

Pamiętał jednak wszystko tak wyraźnie, że choć noc panowała, postanowił przebudzić Gdakulę i opowiedzieć jej swój dziwny sen. Ale w tej samej chwili uczuł we wszystkich członkach taką błogość, że omal nie zaczął krzyknąć z radości.

Senne odrętwienie pierzchnęło natychmiast. Gdakacz poczuł najwyraźniej, że cała izba przesiąknięta jest zapachem jakichś cudownych kwiatów; próżno jednak łamał sobie

głowę, nie mogąc pojąć, jakie to kwiaty przez noc wyrosły i zakwitły w kurniku? Poruszył się na tapczanie, ale zamiast chrześzczącej słomy i liści, które były całem jego pościaniem, uczuł, że uginają się pod nim, puchowe materace i poduszki.

— Panie Jezu! a to co takiego? — wykrzyknął ze zdumieniem.

Na to zbudziła się Gdakula i zawołała również: — „Panie Jezu! a to co takiego? — poczem oboje zaczęli krzyżeć: — Kto tu? Kto tu? — i zaraz potem: „to ja Gdakacz, to ja Gdakula!“ Ale próżno zapewniali się wzajemnie, że są sobą, żadne głosowi drugiego wierzyć nie chciało.

Obydwojgu widocznie przyśnił się ten sam sen a teraz nie wiedzieli, czy śni im się dalej, czy też — co im się wydało prawdopodobniejszym — dostali bzika!

— Mężusiu! — szepnęła naraz Gdakula — nie wiem co to się stało z nami, ale tak mi jest jakoś przyjemnie, jakbym miała dwadzieścia lat!

A Gdakacz na to:

— Nie mam pojęcia co to się porobiło, ale czuję także najwyraźniej, że mam dopiero 25 lat i pół.

— I skądże my w takich paradnych łózkach? — ciągnęła dalej Gdakula — jak żyję nie spałam na jedwabiach i koronkach, choć przecie za dobrych czasów, kiedy byłeś ministrem kur i kapłonów w Jajogrodzie, nie zbywało nam na niczem. Ach! jaka woń rozechodzi się dokoła... i... i... nie — naprawdę! Gdakaczu! pierścionek, mój pierścionek, który odkąd postarzałam się, ciągle mi z palca zlatywał, tak że co rana musiałam go szukać w słomie, — teraz — patrz! jak się trzyma! jakby do palca mi przyrósł! No, no, to dopiero musiałam utyć.

Wyraz „pierścionek“, przypomniał Gdakaczowi pierścień Króla Salomona: „Aha! — pomyślał — więc naprawdę pierścień spełnia wszystkie życzenia i dał mi to, o co go prosiłem



wczoraj“ — i z rozkoszą zaczął się przysłuchiwać rykowi krów, dochodzącemu z oddali. Gdzieś skrzypnęły wrota, a potem po podłodze i suficie izby przemknęło jakieś światelko, jakgdyby ktoś z latarnią w ręku przeszedł przez podwórze.

Gdakacz i Gdakula skoczyli na równe nogi i oboje padli plackiem na ziemię, uderzając nosami w zimną posadzkę. Biedacy zapomnieli, że nie leżą już na niskim tapczanie z mchu i liści, ale na wysoko zasłanych wspaniałych łożach.

Promień latarni podwórzowej, przeciskający się przez szpary jedwabnych rolet, nie oświecał odrapanych ścian kurnika, zawalonego rupieciami i słomą, ale przepyszną książęcą komnatę, której złożone ściany zawieszono były kosztownymi makatami. Adamaszkowe portjery zwieszały się nad drzwiami. Wszystkie naczynia były ze srebra i złota.

Gdakacz i Gdakula porwali się z posadzki a nie mogąc pociemku utrzymać równowagi, padli sobie w objęcia i z radości rozplakali się jak małe dzieci. Czuli oboje, że kochają się tak mocno, ale to tak mocno, jakby się dopiero zobaczyli po raz pierwszy w życiu.

Trzymając się pod ręce, podbiegli do okna, chcąc się przekonać, skąd płynie promień światła, ślizgający się po ścianach.

Na środku wielkiego podwórza, stał stangret w bogatej liberji, który przy świetle latarni przesiewał owies przez sito, nucąc pod nosem jakąś wesołą piosenkę. Naraz Gdakacz spojrział na Gdakulę, Gdakula spojrzała na Gdakacza i znowu padli sobie w objęcia i to płacząc, to śmiejąc się naprzemian, wołali w zachwycie: Ach! Gdakulo jakaś ty piękna! ach! Gdakaczu jaki ty jesteś śliczny.

Potem powiedział Gdakacz:

— Gdakulo, nasz dzielny nieszczęśliwy Alektrjo miał słuszność, kiedy mnie zapewniał, że pierścień króla Salomona jest czarodziejskim. Dziś spełnił wszystkie moje życzenia —

i Gdakacz pokazał Gdakuli pierścień i opowiedział jej wszystko, co sam wiedział o nim. Radość Gdakuli z posiadania tak cennego klejnotu nie miała granic.

Z drugiego okna, do którego pobiegli następnie, zobaczyli cudowny ogród rozciągający się u stóp pałacu. W świetle księżyca fontanny wyrzucały strumienie wody, rozpylającej się jak mgła i spadającej z jednostajnym szmerem do basenów z białego marmuru. Słowiki ukryte w gąszczu kłombów kwiatnych wtórowały muzyce wody, nucąc najśliczniejsze melodie. Odurzająca woń kwiatów płynęła z ogrodu.

Przy trzecim oknie Gdakula wykrzyknęła radośnie: — „Gdakaczu! Gdakaczu! Przecież my jesteśmy w Jajogrodzie! O tam na górze widzę zamek królewski, a tu na dole — ach co za szczęście! wszystkie piekarnie i sklepy masarskie stoją równiutko, jeden obok drugiego! Pewnie śpią wszyscy, bo jeszcze cicho wszędzie. Psst... słyszysz? Teraz trębacz nocny trąbi trzy razy. Więc to dopiero trzecia godzina? Musi być bardzo daleko, bo trąby nie słychać wyraźnie... Ach co to będzie, jak podejdziesz bliżej i zobaczy nasz cudowny pałac! A król? Ten dopiero wytrzeszczy oczy! A ministrowie i damy dworu, którzy tak nas wyśmiewali, kiedyśmy okryci łachmanami porzucali Jajogród, no, ci to już chyba pękną z zazdrości! Ach Gdakaczu! Gdakaczu! jak ja cię kocham za ten twój pierścień czarodziejski“ — i Gdakula rzuciła się na szyję Gdakaczowi, całując go z uniesieniem. Zwolna zaczęło dzień; Gdakacz i Gdakula rozeznawali już prześliczną sypialnię i atlasowe błękitne jak niebo szlafroki, w które byli przybrani oboje. Dopiero teraz przypomnieli sobie ukochaną córeczkę Gdakuleńkę, o której pod natłokiem nowych wrażeń zapomnieli zupełnie. Odnaleźli ją w ślicznym małym łóżeczku, osłoniętym bogato haftowanymi firankami. Tak, to była Gdakuleczka, ale ileż ładniejsza niż przedtem! Ro-



\*BIBLIOTEKA\*  
BN  
\*NARODOW\*

dzice rzucili się ku niej i zaczęli obsypywać tysiącniemi pocałunkami:

— Zbudź się, zbudź! Gdakuleczko! — wołali oboje — zbudź się i przyjrzyj się tym wszystkim cudom! Ach, zbudź się i zobacz, jacy jesteśmy szczęśliwi!

Gdakuleczka otworzyła zaspane oczka, a spostrzegłszy pochylone nad sobą twarze pięknego pana i pięknej pani, myślała, że śni jeszcze i usiłowała zasnąć znowu, a gdy Gdakacz i Gdakula nie przestawali pieścić jej i przemawiać najczulszemi wyrazami, rozplakała się i zaczęła prosić, żeby ją odprowadzili do tatka i do mamy. Ach! co ją obchodziły te wszystkie wspaniałości i cuda!

— Ja nie chcę takiego łóżeczka! Ja nie chcę takiego pokoju! Ja chcę do mojego złotego tatka Gdakacza! Ja chcę do mojej mamy Gdakuli! Ja chcę do kurnika! — wołała zalewając się łzami.

Napróżno Gdakacz i Gdakula usiłowali ją przekonać, że są jej tatkiem i mamą, Gdakusia nie chciała im wierzyć:

— To powiedz, kto ty jesteś? — zapytał ją Gdakacz.

— Ja... ja... jestem Gdakuleńka, — odparło dziecko, wlepiając w ojca zapłakane oczęta.

— Ach! więc ty jesteś Gdakuleńka? — rzekł na to Gdakacz, no to niechże mi Gdakuleńka wytłumaczy, skąd ma taką śliczną jedwabną koszulkę w kwiaty, skoro wczoraj poszła spać w szarej koszulce, ze zgrzebnego płótna?

— Ach, tego to już nie wiem — odpowiedziała Gdakusia, ale to wiem z pewnością, że ja jestem Gdakuleńka. Oczka mnie jeszcze boją, bo wczoraj bardzo długo płakałam. Wszystko się stało przeze mnie, koty zjadły Gallinę i kurczątkę, a tatko kazał szkaradnym puhaczom zjeść kotkę i kocięta! I Alektrja zabił tatko przeze mnie i powiedział, że ja jestem niegodziwe stworzenie. Ale tak, ja jestem Gdakuleńka, niegrzeczna, niegodziwa Gdakuleńka. Teraz Pan

Bóg mnie chce ukarać, za to wszystko, co zrobiłam wczoraj — mówiła Gdakuleńka płacząc, a rzuciwszy okiem na Gdakacza i Gdakulę, ciągnęła dalej: — tatko Gdakacz jest stary, siwiutki, ma długą rozczochraną brodę, buzię ma bladą, a na niej pełno zmarszczek! Tatko ma także kochany, śpiczasty nos, z taką brodawką na końcu... to nieprawda, że ty czarny panie, jesteś moim tatkiem! Tatko Gdakacz nie ma takiej czerwonej buzi, ani takich czarnych włosów, jak twoje! I ty także nie jesteś moją mamą! Ty jesteś taka, wysoka i cienka w pasie, jak patyk. Moja mama Gdakula była wszędzie jednakowo gruba, jak beczułka z kapustą! Ja nie chcę tu zostać z wami! Ja chcę do tatka i do mamy i do naszego zamku! Idźcie wy szkaradni, którzyście mnie ukradli tatkowi i mamie! — i biedna Gdakuleńka zaniósła się od płaczu.

Widząc, że niema innej rady, Gdakacz rzekł:

— Patrz na mnie uważnie, Gdakusiu i powiedz mi, czy teraz jestem podobny do twego tatka, czy nie?

Obrócił pierścień na palcu i szepnął:

Mądry królu, Salomonie,  
coś miał klejnot ten w koronie,  
niech przez dziwne twoje czary  
znów się zrobię siwy, stary —  
gdy w biedaka zmienię się —  
może córka pozna mnie.

W miarę jak Gdakacz kręcił pierścieniem, szaty jego zmieniały się w łachmany, a cała postać kurczyła się i nabierała cech starości.

Gdakusia patrzyła z zapartym oddechem, aż naraz jak nie krzyknie:

— Naprawdę! naprawdę — już się robisz podobny do tatusia! Ach tak, tak, teraz to jesteś mój tatuś, mój złoty, mój stary, mój kochany, jedyny tatuś — i objąwszy Gdaka-

cza za szyję, zaczęła go ścisnąć i tulić się do niego, powtarzając — ach, mam, mam nareszcie mojego tatusia, ach, jakżebym chciała, żebyś jeszcze i mamę przerobił!

Na to Gdakacz pokręcił pierścieniem i Gdakula zaczęła brzydnąć, grubieć i starzeć się. Bardzo jej się to nie podobało, a widząc, że Gdakacz nie przestaje obracać pierścieniem, krzyknęła:

— Dosyć! dosyć, Gdakaczu! To niegodziwość, tak kogoś przemieniać. Ty chyba na złość robisz mnie taką starą i brzydką, bo ja przecież nie byłam taka szkaradna — i Gdakula skoczyła ku mężowi, pragnąc siłą ściągnąć mu pierścień z palca i zrobić się znowu młodą i piękną.

Ale już Gdakusia uwiesiła się jej na szyi, wołając radośnie:

— Ale tak! to ty mammo, to ty napewno! Zupełnie, zupełnie jesteś taka sama jak przedtem, ach mammo, matusiu moja najdroższa — i płacząc ze szczęścia, całowała zwiedłą twarz Gdakuli.

— Ano! niech stracę — rzekła udobruchana Gdakula i serdecznie uściskała garnącą się ku niej córeczkę.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się Gdakacz — nie wiedziałem, że mam taką próżną żonę! Dobrze, że wiem teraz, czem ci Gdakulo można najbardziej dokuczyć. Jeżeli będziesz taka niedbała i leniwa jak dawniej, jeżeli będziesz obrażać się o co bądź, jak to nieraz bywało, jeżeli nie poskromisz ciekawości swojej, to tylko pierścieniem poruszę i odrazu wlepię ci na kark okrągłych 100 lat!

Na to rzekła Gdakula:

— A wlepiaj choćby i dwieście, jeśli ci to przyjemność sprawia, tylko rób to trochę wolniej, żebym miała czas się przyzwyczaić. — Za całą odpowiedź Gdakacz objął ją z czułością, pokręcił pierścień na palcu i oto stali naprzeciwko siebie obydwójce piękni i młodzi.

Tym sposobem dowiedziała się i Gdakuleńka o czarno-księskiej mocy pierścienia króla Salomona. Obawiając się, żeby kto tak cennego klejnotu nie ukradł, Gdakacz zabronił surowo Gdakuli i Gdakuleńce wspominać komukolwiek o pierścieniu, grożąc, że w razie nieposłuszeństwa wszystko utracą i znowu będą musiały powrócić do ruin zamku kurnickiego.

Tymczasem od strony miasta nadszedł stróż nocny, a ujrawszy nagle cudowny pałac, który jak grzyb po deszczu, wyrósł nagle na placu miejskim, zaczął wrzeszczeć, ile mu sił starczyło:

Ludzie wstawajcie! rzecz tego warta!

Właśnie wybiła godzina czwarta,

gdy wtem z pod ziemi, jak tęgi grzyb,

wyskoczył pałac, z tysiącem szyb.

Ażem z przestachu zakrzyknął w głos,

(bo mógł mi łatwo przetrącić nos)

i co sił w nogach zleciałem wdół...

a pałac za mną sterczy jak wół!

Wstawajcie ludzie! wstawaj kto żyw

i lećcie wszyscy oglądać dziw!

I gaście ogień i gaście światła —

by skra na nasze miasto nie padła

i chwalcie Pana nad pany!

Głos stróża nocnego, rozbudził najbardziej nawet zaspanych sklepikarzy. W całym mieście rozległ się stuk odmykanych drzwi sklepowych, założonych na noc ciężką sztabą żelazną, zamkniętą na kłódkę. Kto żył, zrywał się z pościeli i biegł ku pałacowi, drąc się z zachwyty w niebogłosy. Gdakacz, Gdakula i Gdakuleńka przypatrywali się wszystkiemu przez szparę w rolcie. Bawili się tak doskonale, jak na najweselszem przedstawieniu w teatrze i bardzo byli ciekawi, co będzie dalej. Z tłumy ludzi, cisnących się do bramy pała-



cowej, wysunął się naprzód brzuchaty rzeźnik, który wzięwszy się pod boki zawołał:

— Juścić i pałac jest, temu to nie zaprzeczam. Ale kto mi powie, czy w tym pałacu są ludzie i czy ci ludzie będą u mnie kupowali mięso! — A u nas bułki, chleb, precle i kołacze! — dodał czeladnik piekarski, opylony mąką od stóp do głowy.

Nagle zrobiła się cisza, jak makiem zasiał, bo w drzwiach pałacu ukazał się odźwierny. Był to tęgi barczysty mężczyzna, przebrany za Szwajcara. Miał stosowany kapelusz z olbrzymiem piórem i krochmaloną krezę wielkości koła od powozu. W ręku trzymał wysoką laskę z gałką srebrną, mało co mniejszą od sporego arbuza, na której stał kogut z rozpostartymi jak do lotu skrzydłami, ulany również ze szczerzego srebra. Tłum na widok Szwajcara zaczął się cofać, jak przed widmem. Gdakacz, Gdakula i Gdakuleńka, niemniej zdziwieni, uchylili troszkę okna, żeby słyszeć, co Szwajcar będzie mówił.

Szwajcar przeszedł podwórze wielkimi krokami, zbliżył się do bramy pałacowej, otworzył ją wielkim złotym kluczem i spojrzawszy ostro na zgromadzonych, odchrząknął i rzekł:

— Szanowni obywatele Jajogrodu! Zmuszony jestem wyrazić wam swoje głębokie niezadowolenie, z powodu waszego nietaktownego zachowania się! Cóż za brak wychowania i dobrego tonu! Jakiem prawem ośmielacie się, przed świtem jeszcze, nachodzić tłumnie pałac Jego Wysokości księcia Gdakacza i Jej Wysokości księżny Gdakuli z Kuroszów, herbu Kurza Stopka w Paszczy Kota; jakim prawem wrzaskami swojemi zakłóćcie ich spokój nocny? Jeżeli nie chcecie ściągnąć na siebie srogiej niełaski Jego Książęcej Wysokości, radzę wam, oddalcie się stąd natychmiast, i nie ośmielajcie się powtarzać tego po raz drugi!

— Dopraszam się łaski wielmożnego pana — rzekł na to

rzeźnik, kłaniając się tak nisko, że aż czapką zmiotł kurz z przed stóp Szwajcara — czy też ten pałac, który jak grzyb po deszczu wyrósł w ciągu jednej nocy, nie jest przypadkiem własnością księcia Gdakacza, byłego ministra kur i kapłonów, na dworze naszego króla?

— Zgadłeś — odparł Szwajcar — w pałacu tym raczą mieszkać najlaskawiej: były minister dworu królewskiego ksiązę Gdakacz na zamku kurnickim, małżonka jego księżna Gdakula, oraz najmilsza ich córeczka, księżniczka Gdaku-leńka.

W skład służby pałacowej wchodzi: dwaj kamerdynerzy, dwie panny służące, dwie pokojowe, czterej służący, dwaj pocztowi, dwaj strzelcy, dwaj hajducy, dwaj kozacy, dwaj murzyni, dwaj olbrzymi, dwa karzelki, dwóch odźwiernych, z których jednym raczono najmiłościwiej zamianować mnie, dwaj stangreci, sześciu stajennych, dwaj kucharze, sześciu kuchcików, dwaj ogrodnicy, sześciu ogrodniczków, jeden ochmistrz dworu, jedna ochmistrzyni dworu, jeden dozorca kapłonów, jeden dozorca kur i bażantów. Wszyscy mieszkańcy pałacu, wliczając resztę służby, której tu jeszcze nie wymieniłem, będą spożywać dziennie:

Sto funtów poledwicy, sto funtów cieleciny, sto funtów baraniny, 50 funtów wieprzowiny, 60 kielbas. Liczba kiszek pasztetowych i serdelków nie jest jeszcze ściśle oznaczona.

— Ach — jęknął z zachwytu rzeźnik i omal, że nie ukląkł przed Szwajcarem — ośmielam się zanieść korną prośbę do Waszej Wielmożności, o polecenie mnie Jego Książęcej Wysokości, jako nadwornego dostawcy wszystkich wyrobów masarskich.

Na to czeladnik piekarski wyskoczył z tłumu, jak z procy i chwytając Szwajcara za guzik od munduru, wykrzyknął:

— Bójcie się Boga! Wythumaczcie Ich Książęcym Mo-

ściom, żeby nie opychali żołądków samem mięsiwem bez chleba, bo pochorują się na niestrawność!

Szwajcar odsunął go ruchem pełnym godności i rzekł:

— Jego Książęca Mość będzie zamawiała dziennie 60 bochenków chleba, 150 bułek, 100 jajeczników, 15 bab, 100 zajączków czekoladowych i 269 pajaców z lukrowanego piernika!

— Ach, polecam Jego Książęcej Mości najniższe nasze usługi — wyszeptał czeladnik piekarski, któremu aż mowę odjęło ze wzruszenia.

— No, no, przekonamy się dopiero, kto nam dziś dostarczy najlepszego mięsiwa i najpulchniejszych bułek — rzekł Szwajcar, żegnając zebranych łaskawym ruchem ręki.

Wszyscy piekarze i rzeźnicy rzucili się do swoich bud i zaczęli miesić, zarzynać, piec ciasta i nadziewać kiełbasy; żony zaś ich i dzieci okurzały wystawy sklepowe, ozdabiając je zielonemi gałązkami bukszpanu i choiny. Strach, jak to wyglądało wspaniale!

Cały Jajogród był w ruchu. Wszyscy sklepikarze i kramarze tłumnie sunęli ku pałacowi i przyjrzawszy mu się z pewnej odległości, wracali pełni radości, licząc w myśli sute zarobki, jakie teraz z pewnością ich nie ominą.

A Gdakacz, Gdakula i Gdakuleńka przebiegali cały pałac od strychu do piwnic i suteryn, nie mogąc nacieszyć się skarbami, które zawierał w sobie. Cała służba już była na nogach. Ubierano się, trzepano dywany, czyszczono buty i suknie, karmiono drób i wieprzki, pojono bydło i konie, fryzowano włosy przed lustrem. Życie i ruch wrzały w całej pełni.

Burmistrz Jajogrodu zwołał nadzwyczajne posiedzenie rady miejskiej, na którym uchwalono uczcić parę książęcą pochodem z cechami i chorągwiami. Na czele każdego cechu szedł chorąży, niosąc chorągiew ze św. Patronem. Wszyscy

mieszczanie wystąpili w strojach urzędowych; pochód zamykała orkiestra miejska. Kiedy wszyscy zebrali się na podwórzu pałacowem, rozległ się huk wystrzałów z kilku zarzewiających flint i tłum, jak jeden mąż, wznosił okrzyk:

— Niech żyje książę Gdakacz! niech żyje księżna Gdakula! Niech żyje księżniczka Gdakuleńka! Wiwat! niech żyją nam, wiwat! Niech żyją nam!

Muzyka zagrała tęgiego marsza — Gdakacz ukazał się na balkonie. Rozrzucił parę garści złota między zebranych, Gdakula i Gdakuleńka uprzejmie się kłaniały. Gdakacz dał znak piwnicznemu. Natychmiast służba wytoczyła beczkę starego miodu z piwnicy, i złote kubki, napelnione aromatycznym płynem, zaczęły gęsto krążyć między tłumem.

Podczas gdy tu zabawiano się w najlepsze, w jedną z opustoszałych uliczek Jajogrodu wjechał wóz królewski z Wielkim Kuchmistrem na koźle, który, jak codziennie, miał zakupić prowianty dla dworu królewskiego.

Jak corocznie, kiedy nastawały upalne dni letnie, król Jajozer przeniósł się do swej letniej rezydencji, oddalonej zaledwie o milę od Jajogrodu — mianowicie do ślicznej, przewiewnej willi „Pisanki“. Willa ta, zbudowana według planów samego króla, była stałym przedmiotem jego zachwyty. Ściany, utworzone z samych wydmuchanych skorupek jaj kurzych, zdobita mozaika z barwnych pisanek. Dach przypominał do złudzenia kwokę, siedzącą na jajach, a zrobiony był z prawdziwych piórek kurzych i kogucich. Król szczycił się tem niezmiernie, że wszystkie jaja, zużytkowane do wzniesienia willi, zniosły kury już w czasie jego panowania i że wszystkie wypił on sam. Właśnie budowa tej willi była kamieniem niezgody między ministrem Gdakaczem i królem. Gdakacz, któremu poruczono zarząd kur i kapłonów, parę razy ostro sprzeciwił się temu marnowaniu drobiu i jaj, a naraziwszy się królowi, został wygnany z Jajogrodu.

Wielki Kuchmistrz dworu zatrzymywał się kolejno przed wszystkimi sklepami i ze zdumieniem spostrzegł, że ulice są puste jak wymiótł, a wszyscy sklepikarze, zebrani tłumnie przed jakimś cudownym pałacem z marmuru, bankietują w najlepsze. Wkrótce jednak zdumienie jego zamieniło się w gniew srogi, gdy sklepikarze ujrawszy wóz dworski, zaczęli machać rękami, krzycząc:

— Możesz wracać zpowrotem! Nic tu dziś nie dostaniesz! Wszystko już raczyła zakupić Jego Wielmożność — Księżę Gdakacz na zamku kurnickim!

A gdy oburzony Kuchmistrz chciał siłą zdobyć choć trochę najniezbędniejszych artykułów spożywczych, mieszcza- nie rzucili się na niego i odebrali wszystko. Powstał straszny zgielk i zamieszanie, wrzaski Kuchmistrza dworu doszły do uszu Gdakacza, który dowiedziawszy się, co się dzieje, kazał natychmiast powiedzieć Kuchmistrzowi, żeby wracał do domu, i oznajmił królowi, że Księżę Gdakacz wydaje obiad, na który ma zaszczyt najuprzejmiej zaprosić króla z rodziną, oraz dwór jego i całą ludność państwa, nie wyłączając najędzniejszego z poddanych. Tymczasem prosi króla Jajożera o przyjęcie skromnego poczęstunku, który Kuchmistrzowi natychmiast wydadzą ze spiżarni książęcej.

Na rozkaz Gdakacza wypełniono wóz królewski jajami czajek; na koźle usiadło dwóch murzynów, którzy mieli nauczyć króla, jak podług wymagań ostatniej mody wypija się te jajka, których król nie znał dotychczas.

Można sobie wyobrazić, z jakim zdumieniem słuchał król Jajożer opowiadań Kuchmistrza o pałacu, który wyrósł nagle jak grzyb po deszczu, i o bogactwach byłego jego ministra, Gdakacza. Zaciekawiony przywiezionym podarunkiem, kazał sobie natychmiast ugotować 100 jaj na miękko. Z prawdziwą rozkoszą spojrzął na rosłych dwóch murzynów, niosących w rękach dwie potężne salaterki z masywnego

srebra, pełne jajek, pięknie ułożonych na miałkiej, białej soli. Jakże wspaniale odbijała od ścian willi, żółtych jak jajecz-  
nica, czarna barwa skóry murzynów i purpurowa, złotem  
wyszywana liberja.

Król wezwał żonę swoją Jajolegię i następcę tronu Jajo-  
mira (ślicznego chłopczyka, niewiele starszego od Gdaku-  
leńki) i opowiedział im historję cudownego powrotu Gdaka-  
czów, obecnie właścicieli czarodziejskiego pałacu.

— Ach, papo! — zawołał Jajomir — czy nie przyjechała  
z nimi i mała Gdakuleńka, z którą się zawsze tak doskonale  
bawiłem!?

— Naturalnie że przyjechała — odparł król — zaraz po  
śniadaniu pojedziemy ich odwiedzić, ale najpierw skosztu-  
jemy tych wybornych jajek, które nam tak uprzejmie przy-  
słali na śniadanie. Spójrzcie, jakie zielone, znaczone czarnymi  
kropeczkami. Jak żyję, takich nie widziałem. Pochodzą  
z Ukrainy, gdzie można je odnaleźć nad Dnieprem, a nazy-  
wają się jajami czajek dlatego, że ptaki z uprzejmości dla  
mieszkańców Ukrainy, znoszą je wprost do kojców na ło-  
dziach, zwanych czajkami.

Na to rzekł jeden z murzynów:

— Przepraszam najpokorniej, że ośmielę się zwrócić  
uwagę Najjaśniejszego Pana, ale ptaki, które te jaja znoszą,  
nazywają się czajkami dlatego, że znosząc jajka wołają, jak  
szyldwach na warcie: czyj wy? czyj wy? — a jeśli się im  
odpowie: „swój“, najchętniej oddają swoje jaja, i zaraz zno-  
szą na to miejsce nowe.

— Niech figura stuli gębę! Figura ma jeszcze mleko pod  
nosem, a będzie mi tu o jajach rezonowała! — wrzasnął król,  
oburzony, że ktoś ośmiela się poprawiać jego wiadomości  
z zakresu znoszenia jakichkolwiek jaj.

Biedny murzyn tak się przeląkł gniewu królewskiego, że  
naprawdę wargą górna pobielała mu ze strachu.

Wtedy powiedział drugi murzyn:

— Najmiłościwszy Pan nasz, Książę Gdakacz na zamku kurnickim, polecił nam pokazać Jego Królewskiej Mości, w jaki sposób spożywa się jaja czajki według ostatniej mody, przyjętej przez dwory państw ościennych.

— Bardzo proszę — rzekł łaskawie król, któremu aż oczy wylażyły na wierzch z ciekawości.

Wtedy murzyni stanęli naprzeciw siebie a każdy na lewej, otwartej dłoni miał po jednym jajku. Na prośbę ich, król zakomenderował raz, dwa, trzy! każdy z murzynów trzasnął swego towarzysza prawą ręką w lewą rękę z jajem i każdy po chwili miał na prawej dłoni żółtko, które natychmiast wlał do ust.

Król aż ręce zatarł z radości; na wyścigi z murzynami powtarzał próbę dopóty, póki ze 100 jaj nie zostało ani jedno — poczem ofiarował obu murzynom order Czerwonej Pisanki 3-ej klasy, który im własnoręcznie zawiesił na szyi.

Potem król, królowa i królewicz wsiedli do powozu, dwór cały podążył za nimi. W chwilę później byli przed pałacem Gdakacza, który oczekiwał dostojnych gości u wejścia.

Wykrzykom podziwu pary królewskiej nad pięknością i młodością Gdakaczów i przepychem ich urządzenia, położył dopiero tamę wspaniały obiad, który podano w najpiękniejszej sali pałacowej.

Jak świat światem, nic podobnego nie widziano.

Gdakuleńka i królewicz Jajomir siedzieli przy oddzielnym, małym stolyczku. Bawili się wybornie figlami dwóch małych karzełków, którzy byli ich przybocznymi kamerdynerami. Ogólną wesołość podsyciała muzyka czterech orkiestr, grających równocześnie w czterech rogach sali.

Po deserze król wypił zdrowie Gdakuli a królowa wypiała zdrowie Gdakacza. Król ze łzami rozrzewnienia ślubował być Gdakaczowi bratem, Jajolegia przysięgła być Gdakuli —

siostrą. Wszyscy czworo ściskali się i całowali wzajemnie. Widząc to Gdakuleńka, pocałowała królewicza, królewicz pocałował Gdakuleńkę i rzekł:

— Ty jesteś moją królową! na co Gdakuleńka odpowiedziała: A ty jesteś moim królem.

Kiedy już wszyscy doszli do szczytu rozrzewnienia, król Jajożer wziął Gdakacza poufale pod ramię, poprowadził go do framugi okna, i tu najpierw zawiesił mu na szyi najwyższy Order Złotej Pisanki Dwuzółtkowej, a potem poprosił o pożyczenie 100 złotych, bo chwilowo zabrakło mu drobnych. Gdakacz dał mu je natychmiast a potem wszyscy pojechali zobaczyć cudowną zabawę ludową, urządzoną z niebywałym przepychem.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Rok blisko żyli już Gdakaczowie w pałacu jajogrodzkim; nic nie mąciło ich szczęścia, a węzły przyjaźni między nimi a rodziną królewską zacieśniły się tak dalece, że dnia nie było, żeby król Jajożer nie korzystał bądź to ze świetnie zaopatrzonej spiżarni i piwnicy Gdakacza, bądź z jego nigdy nie wyczerpującej się sakiewki. Wkrótce nikt już w państwie nie wiedział, kto jest właściwym królem i królową — Jajożer i Jajolegia, czy też Gdakacz i Gdakula. Ale wszyscy tak dobrze na tem wychodzili, że ucieszyli się niepomierne, gdy król i Gdakacz zawarli przymierze, mocą którego Gdakuleńka miała zostać żoną królewicza Jajomira i w przyszłości wraz z nim sprawować rządy w państwie Jajogrodu.

Że jednak człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi — więc i na Gdakaczów, którzy zapomocą czarnoksięskiego pierścienia doszli do najwyższego znaczenia i potęgi, spadło jeszcze dużo różnych nieszczęść, o których tu wspomnieć należy.

Nadzwyczajna zmiana losu najmniej cieszyła Gdakuleńkę. Cóż z tego, że miała słodyczy i zabawek do przesyty, skoro tęskniła do lalki. Gdakacz święcie dotrzymał przysięgi, złożonej na grobie Alektrja; nigdy między zabawkami, których stosy całe otrzymywała Gdakusia na świętego Mikołaja i na Gwiazdkę, nie ukazała się wesoło uśmiechnięta twarzyczka ładnej laleczki. Ach, jak Gdakusia zazdrościła dziewczynkom, które przechadzały się po ulicach Jajogrodu, piastując

w rączkach wspaniałe lale, w błękitnych i różowych sukienkach. Gdakusia nie chciała już nawet takiej pięknej lalki, zadowoliliby się małą, malutką, a nawet najmniejszej nigdy wziąć do ręki nie mogła, więc cóż dziwnego, że pomimo wszystkich bogactw, otaczających ją dookoła, nieraz łyż ciężkie wzbierały pod jej powiekami i zwolna toczyły się po zasmuconej twarzyczce.

Gdakacz domyślał się przyczyny smutku i łez Gdakuleńki. Kochając ją nad wszystko, starał się ją pocieszyć i rozerwać. Brał ją na kolana, pokazywał najcudowniejsze książki z ruchomymi, żywymi obrazkami — opowiadał jej tysiące bajek. Czasem nawet pozwalał jej brać do ręki czarnoksiężski pierścień, którego opal mienił się wszystkimi barwami tęczy. Ilekroć Gdakuleńka wpatrzyła się w klejnot, w którym migły jakieś dziwne, czarodziejskie płomyki, natychmiast zapominała o wszystkich swoich smutkach i biegła do matki wesoła i radosna jak ptaszek.

Było to w pierwszy dzień świąt Wiekanocnych. Wiosna zupełna panowała już dokoła. Gdakuleńka w koronkowej, srebrem haftowanej, sukience, wbiegła do ogródka, chcąc przyjrzeć się kwiatkom, które przez noc zakwitły. Ach, jaki śliczny był ten ogródek! Białe narcyzy mrugały czerwonymi oczkami, wstęgi parmeńskich fiołków owijały klomby, idąc na powitanie Gdakuleńki smugą odurzającego zapachu. Ścieżki ogródka wysypane były złotym piaskiem. W samym środku ogrodu wystrzelał w górę wodotrysk. Złote rybki pluskały się w marmurowym basenie, w srebrnej klatce, kunsztownie zawieszanej nad wodotryskiem, śpiewały barwne ptaki wodne, a w głębi ogródka, w cieniu krzewów różanych, wznosiła się śliczna mała altanka. Gdakusia weszła do altanki i siadłszy na trzciniowej ławeczce, smutnie oparła główkę na rączce:

— Ach — szepnęła do siebie — jakieżby to było szczę-

ście, gdybym po tych ścieżkach i trawnikach mogła biegać ze swoją własną lalką na rękach. Ach, wtedy byłoby dopiero wesoło i przyjemnie, bo taką lalką, którą sobie sama uszyję ze szmatek albo z chusteczki do nosa, to się i bawić nie warto. Co innego, gdyby to była laleczka, co rusza rączkami i nóżkami, z różową buzią i jasnymi loczkami! Ale takiej prawdziwej laleczki tatuś nigdy mi mieć nie pozwoli.

Smutne dumania Gdakusi przerwał nagle dźwięk muzyki, dochodzący gdzieś z poza ogrodu. Muzyka była stłumiona, ale tak miła i rzewna, że zaciekawiona Gdakusia rozchyliła gałązki, chcąc się dowiedzieć, kto tak ładnie grać umie. I nagle ujrzała coś tak nadzwyczajnego, że dech zamarł w piersi Gdakuleńki.

Na polnej ścieżce, dochodzącej aż do złotego ogrodzenia, otaczającego ogródek Gdakusi, siedział jakiś człowiek bez głowy, ubrany w długą czarną pelerynę; właśnie pod tą peleryną nakręcał swoją muzykę. Gdakusia przykucnęła na ziemi i przytrzymując rączkami gałązki, starała się dojrzeć, na jakim instrumencie gra ów człowiek, gdy wtem ku najwyższemu jej zdumieniu wysunęły się z pod peleryny dwie maleńkie nóżki, ubrane w błękitne, złotem haftowane trzewiczki, i w takt muzyki, zaczęły tańczyć po murawie.

Gdakuleńka drżała z ciekawości ujrzania całej lalki, ale lęk przed tą dziwną postacią bez głowy nie dozwalał jej wyciągnąć rączki i pochwycić przez pręty ogrodzenia maleńkiej tancerki. Nareszcie przyszło jej na myśl ułamać długi pręcik; przesunęła go przez kratę i uniosła w górę brzeg peleryny. Natychmiast wybiegła z pod peleryny cudowna mała laleczka, przebrana w śliczny kostjum ogrodniczki i pędem zaczęła biec ku Gdakuleńce. Byłaby napewno upadła w jej nastawione rączki, gdyby nie kratka żelazna. Lalka parę razy uderzyła w nią główką, jakby szukała jakiegoś przejścia, ale w tej chwili jakaś długa, chuda ręka wysunęła się, chwyciła

laleczkę, wsadziła ją znowu pod pelerynę i jakiś gruby, niemiły, męski głos zaczął ostro łajać maleńką tancerkę, że ośmieliła się wybiec bez pozwolenia. Słyszając to, Gdakuleńka wykrzyknęła oburzona:

— Cicho mi bądź zaraz, szkaradna czarna peleryno! Co ci złego zrobiła ta cudna laleczka, że się tak na nią gniewasz? Coby ci to szkodziło, gdyby się troszkę pobawiła ze mną? Ach puść ją, puść i pozwól jej przyjść do mnie, do mojego ogródka!

Ledwie wymówiła te słowa, peleryna się uniosła w górę i Gdakusia zobaczyła starego siwego dziada z długą krętą brodą, który skłonił się jej i rzekł:

— Przepraszam cię najpokorniej, śliczna panienko, że ośmieliłem się tak blisko twego ogrodu przygrywać na drumli mojej laleczce do tańca. Ale chciałem się przekonać, czy nie popsuła mi się przez drogę, bo daję dziś przedstawienie w domu zajezdnym w Jajogrodzie. Nie sądziłem, że ktokolwiek nas widzi. Ale powiedz sama, czy nie ładna moja tancerka? Czy nie powinienem zarobić dużo pieniędzy? Teraz jest przebrana za ogrodniczkę, w jednej ręczce trzyma podlewaczkę blaszaną, w drugiej nożyce ogrodowe, ale mam tu jeszcze dużo innych przebrań. Tu jest kostjum pasterski z laską i z barankiem, tu myśliwski z malutką strzelbką i z wyżełkiem. Pełne kieszenie mam sukienek dla niej, tak że mogę ją przebierać w co mi się żywnie podoba. — Mówiąc to, dziad wyjął z kieszeni pełną garść sukienek dla lalki, które podał Gdakusi poprzez płot. Gdakusia aż rączki złożyła w zachwycie. Tymczasem laleczka przytrzymana na ramieniu dziada, jak ptaszek kręciła główką to w jedną, to w drugą stronę.

— Ach! jakie cudne są te sukienki — wołała Gdakusia — dziadku, mój złoty, mój kochany dziadku, pozwól mi tej laleczki na chwileczkę, takbym chciała zobaczyć ją zbliska.

Ale dziad wstrząsnął głową i rzekł:

— Nie, moja panienko, tego nie mogę zrobić. Mogłabyś ją popsuć przypadkiem i nie mógłbym później dać przedstawienia w domu zajezdnym w Jajogrodzie. Ale gdybyś mi zrobiła jedną przysługę, to wzamian dałbym ci tę laleczkę z sukienkami zupełnie na własność.

— Ach dziadku — mnie nie wolno mieć żadnej lalki — westchnęła Gdakusia ze smutkiem — a tę tak strasznie mieć-bym chciała!

— Tę mieć możesz — odparł dziad, bo to nie jest wcale lalka, to jest tylko takie mechaniczne cacko: nakręca się kluczykiem od zegarka, a po nakręceniu może biegać pół godziny bez zatrzymania się, zupełnie jak żywy człowiek. Spójrz tylko, — mówiąc to, dziad wsunął rękę pod sukienkę laleczki: krr... krr... krr... nakręcił kluczykiem i zaledwie ją postawił na ziemi, laleczka zaczęła znowu biec wzdłuż płotu, kiwając główką, jakby coś powiedzieć chciała.

— Ach, ona chce do mnie przybiec, ona główką do mnie kiwa! Ach, powiedz, powiedz mi dziadku kochany, co ja mam zrobić, żeby dostać tę cudną laleczkę! — wołała Gdakuleńka, drżąc z radosnego uniesienia.

— Och, bagatelkę — rzekł dziad — widzisz, dziecko, ja jestem biedny, opuszczony sierota, nie mam ojca, ani matki, ani brata, ani siostry, ani domu, ani żony, ani kota, ani myszy, nic, nic nie mam na świecie oprócz tej laleczki kochanej. Ale w smutku moim i opuszczeniu nawet ona nie może mnie pocieszyć! Ach, ty jedna mogłabyś to zrobić, żebym zapomniał o wszystkich moich smutkach i zaczął sobie skakać, jak mały żrebaczek — i dziad zaszlochał żałośnie, ocierając łzy połami czarnej peleryny.

— Ach, powiedz mi, dziadku, co mogę zrobić dla ciebie — rzekła wzruszona Gdakuleńka. — Ja wszystko zrobię, co

tylko będę mogła, bylebyś przestał płakać i dał mi tę śliczną laleczkę.

A na to dziad odpowiedział:

Twój tato ma pierścionek złoty,  
który misternej jest roboty,  
w środku ma kamień drogocenny,  
co wkoło rzuca blask promienny.  
Na kogo smutku przyjdzie czas,  
a w kamień zerknie jeden raz,  
wnet radość serce mu przeniknie  
że jak żrebaczek, nóżką fiknie.  
Ja dobrodziejstwo jego znam,  
i chętnie lalkę tobie dam,  
byleś, Gdakusiu moja mała,  
na chwilkę pierścień ten mi dała.

— Ach, wiem, wiem, o jaki idzie ci pierścionek, — zawołała Gdakuleńka. — Ja sama, ile razy byłam smutna i spojrzałam w jego kamień, zaraz zapomniałam, że nie mam lalki. Dobrze, przyniosę ci go zaraz, jak tatko zaśnie po obiedzie, przyniosę ci go tu do ogrodu, tylko, żebyś, dziadku, przyszedł i stał na tem samym miejscu.

— To się rozumie, że przyjdę, — rzekł dziad, — tymczasem możesz zatrzymać i przyglądać sukienki, bo mi się w kieszeni trochę pomięły. — Dziad podał dziewczynce całą masę gałganków, które Gdakuleńka porwała z uciechą. Potem nakręcił raz jeszcze laleczkę, która znowu przy muzyce odtańczyła ślicznie parę tańców i oddalił się w stronę Jajogrodu. Gdakusia machała za nim rączką, wołając:

— Tylko przyjdź napewno, przyjdź napewno, dziadku, zobaczysz, jak się pierścionek będzie śmiał do ciebie!

— Dobrze! dobrze! przyjdę! — zawołał dziad i znikł za gąszczem krzaków polnych.

Po jego odejściu Gdakusia cichutko wsunęła się do altanki i tu przycupnąwszy jak myszka, długo układała sukienki

lalki, oglądając i gładząc każdą z osobna po niezliczone razy. Na myśl, że za parę godzin śliczna lalka będzie jej własnością, że maleńkimi nóżkami w błękitnych pantofelkach będzie przebiegać ścieżynki i klomby kwietne, radość Gdakusi nie miała granic. Zaledwie książkę Gdakacz, ukończywszy obiad, zdrzemnął się na fotelu w swoim gabinecie, Gdakuleńka ukłękła u jego kolan, czatując na chwilę, w której ojciec zaśnie tak mocno, że swobodnie będzie mogła zesunąć pierścień z jego palca. Zwolna wyciągnąwszy rączkę dotknęła pierścienia, myśląc: „ach, żeby tatko się nie zbudził, zanim ja mu pierścienia nie odniosę. Ach, żeby on się dał łatwo zesunąć z palca“ — a że pierścień wypełniał zawsze żądania tego, który go poruszył, natychmiast okazał swoją moc czar-noksięską i uśpił Gdakacza, a potem sam się zesunął z jego palca, wpadając w nastawione rączki Gdakuleńki.

Gdakuleńka zerwała się z kolan i jak wiatr pomknęła do ogrodu. Zdaleka już zobaczyła dziada, który jak cap wyciągał głowę ponad płotem, trzęsąc siwą brodą i błyskając ku jej rączkom chciwymi oczami.

— Dawaj lalkę, dawaj lalkę! — krzyknęła Gdakuleńka, przypadając cała zdyszana do płota — masz pierścień. Tylko zagłównij prędko i oddaj go, bo muszę go odnieść, zanim się tatko obudzi! — Dziad podał jej lalkę, nauczył ją nakręcać maszynkę kluczykiem, poczem Gdakusia podała mu pierścień. Od tej chwili wszystko istnieć dla niej przestało, prócz lalki, która biegła po ścieżce, ślicznie przebierając nóżkami. Gdakusia biegła za nią, klaszcząc w rączki z zachwyty i szczęścia, ale i dziad skakał i klaskał w ręce z uciechy, co usłyszawszy Gdakusia, zapytała, czy pierścień go już pocieszył.

— O, najzupełniej! — odparł dziad, oddając jej pierścień. Potem zaśmiał się ohydny, szyderczym śmiechem i życząc jej przyjemnej zabawy, znikł na zakręcie ścieżki.

Gdakuleńka pobiegła czem prędzej do pałacu! Tak zręcz-

nie wsunęła pierścień na palec Gdakacza, że nie przebudziła go wcale, poczem wróciła znów do altanki, szukając kącika, w którymby lalkę mogła ukryć bezpiecznie. Wreszcie wsadziła ją pod krzaczek i nakryła garstką zerwanych liści.

Kiedy się Gdakacz przebudził z poobiedniej drzemki, murzyn wniósł na złotej tacy zaproszenie od króla Jajożera na festyn, który się miał odbyć w ogrodach królewskich. Gdakacz kazał natychmiast zaprzęgać konie, a Gdakuleńka wbiegła do altanki, wyjęła lalkę wraz z sukienkami i włożyła do kieszeni, chcąc ją pokazać małemu swemu przyjacielowi, królewiczowi Jajomirowi. Czekala tylko na swobodną chwilę, w której nikt na nich nie będzie zwracał uwagi.

Ponieważ był to pierwszy dzień świąt Wielkanocnych, król Jajożer urządził na zielonej łące wielki festyn pisanki. Tłumy zaproszonych gości wzięły udział w nader urozmaiconej zabawie: tańczono, biegano do mety, strzelano z łuków do wysoko zawieszzonego jajka. Rzucano jajami w jaja, a czyje jajo się stłukło, ten przegrywał.

Wszystkie dzieci z całego Jajogrodu biegały ze śmiechem po łące, szukając jaj, które Wielki-Inspektor-Jaj-Wielkanocnych własnoręcznie powtykał w wysoką trawę.

Śmiechom i radościom nie było końca. Naraz wielki mistrz ceremonji dał znak orkiestrze i natychmiast rozległa się melodia narodowego tańca Jajogrodu. Tłumy ludu zaczęły tłoczyć się ku barjerze, otaczającej łąkę królewską, każdy chciał zobaczyć słynny taniec Pisanki, który rodzina królewska miała odtańczyć publicznie. Sam środek łąki zasłano bezcennym kobiercem, na którym w dziesięciu rzędach ułożono 100 złożonych jaj pawich. Królowa wdzięcznym krokiem podszła do Gdakacza i zawiązała mu oczy jedwabną chusteczką do nosa. Gdakacz wyjął swoją chusteczkę i zawiązał oczy królowej. Tak samo przewiązali sobie oczy Jajożer i Gdakula, a także królewicz i Gdakuleńka.





BIBLIOTEKA \*  
EN  
\*NARCDCCY

Wielki mistrz ceremonji poprowadził ich w kornym ukłonie na dywan. Dostojne pary poczęły tańczyć w takt granej melodji. Oryginalny ten taniec polegał na tem, żeby w tańcu nie dotknąć stopą i nie roztluc któregoś z jaj leżących na kobiercu. A że było to sztuką nielada, lud z zapartym oddechem śledził taneczne pląsy królów i książąt.

Nie wszyscy jednak zajęci byli tańcem Pisanki. Nieopodal pod krzakiem siedziało dwóch starych, oberwanych dziadów. Dziady te, to spluwały ze złością, słysząc brawa i wivaty wznoszone przez lud na cześć dostojnych tancerzy, to wyciągając szyję w stronę miasta, wypatrywały, ażali nie ujrzą kogo na ścieżce polnej. Naraz zdaleka ukazała się zgarbiona postać trzeciego dziada, która szybko zbliżyła się ku nim. Rytownicy, gdyż oni to byli, porwali się z miejsc i rzucili się ku przybywającemu.

— Masz go? masz go? — krzyczeli jeden przez drugiego, usiłując zakrzywionemi, jak szpony, palcami roztworzyć mocno zaciśniętą dłoń towarzysza.

— Mam, mam — odparł handlarz śmiejąc się szkaradnie. — Zdobyłem go. Dzięki głupocie Gdakuleńki. Dałem jej wzmian pierścień ze szklanym kamykiem, który Gdakacz ma na palcu. No, teraz zapłacimy Gdakaczowi za to, że nas oszukał przy sprzedaży koguta i zostawił nas w dole wilczym, gdzie byłyby nas pożarły dzikie zwierzęta, gdyby chłopci, usłyszawszy wołanie o ratunek, nie byli nam pośpieszyli z pomocą.

Byli to owi trzej handlarze, którzy chcieli wyprowadzić w pole Gdakacza, a dzięki Alektrjowi zostali wyprowadzeni w pole przez niego. Teraz mając czarnoksięski pierścień w ręku zapragnęli zemścić się na Gdakaczu, którego wysokie stanowisko i blask, jaki dokoła swej osoby roztaczał, nie dawały im chwili spokoju. Przykucnęli na trawie i zaczęli obracać pierścień, wołając wszyscy naraz:

Mądry Królu Salomonie,  
 coś miał klejnot ten w koronie,  
 nim godzina ta przeminie,  
 moc nam swoją okaż w czynie:  
 Zrób Gdakacza dziadem siwym,  
 brzydkim, zrzędnym i gderliwym.  
 Zrób Gdakulę babą starą,  
 głupią, śmieszna i niezdarą.  
 Gdakuleńkę zmień w obdarte  
 dziecko brudne i uparte.  
 Zabierz wszystkie bogactwa szczeble,  
 złoto, pałac, służbę, meble,  
 szaty zedrzyj z nich książęce,  
 kij żebraczy daj im w ręce,  
 obdarz ich najsrozsza nędzą,  
 niech królowie ich wypędzą  
 i niech potem bez ryzyka  
 powracają do kurnika.  
 Zgub ich, prosim, zniszcz i zgub!  
 nas zaś magnatami zrób!  
 herbowymi baronami,  
 rycerzami, prorokami,  
 nadwornymi dostawcami,  
 królewskimi doradcami,  
 interesów daj niemało,  
 daj nam giełdą zatrząść całą,  
 daj nam życie w szczęściu wieść,  
 daj nam polot, blask i cześć,  
 daj urodę, dobry ton,  
 jak miał w biblji Absalon.  
 Kręć się, kręć pierścionku mój,  
 spełń, co pragnie sługa twój.

W czasie zaklęć, miotanych przez trzech handlarzy —  
 w tłumie zebranych dokoła łąki królewskiej rozległy się  
 krzyki, śmiechy, gwizdania:

— Patrzcie! patrzcie! widzicie tego dziada, widzicie tę  
 dziadówkę! ha! ha! ha! jak podskakują, jak gniotą i tłuką.

jaja. Precz z nimi, precz! wyrzucić żebraków za bramę! brudasy! łachmaniarze! Wrzask stał się tak donośnym, że doszedł do uszu tańczącej pary królewskiej, król i królowa zerwali opaski z oczu i z przerażeniem ujrzeni, że zamiast strojnych, młodych i eleganckich książąt, którzy z takim wdziękiem tańczyli narodowy taniec Pisanki, po dywanie uwija się w niezgrabnych podrygach para starych wynędzniałych żebraków z dzieckiem, okrytem brudnymi łachmanami. Cały dywan zasłany był rozgniecionymi skorupami jaj i ociekał wprost jajecznicą. Na okrzyk przerażenia królowej i króla nieszczęśliwe ofiary oszustwa handlarzy zerwały także przepaski zasłaniające im oczy i ujrzawszy się w tak okropnym stanie, zaczęły płakać rzewnie. Gdakacz chwycił za czarno-księski pierścień. Próżno jednak kręcił nim na wszystkie strony — nic nie zmieniło się na lepsze. Wtedy dopiero poznał, że pierścień jest fałszywy i chwyciwszy się za głowę jęknął:

— O mój Boże! wszystko stracone! Ktoś zamienił mi nasz pierścień cudowny! Rzucił się ku królowi, chcąc mu wyjaśnić rzecz całą i prosić o pościg za złoczyńcami, ale król odepchnął go brutalnie. Królowa odwróciła się plecami od Gdakuli i skinęła na pacholków, rozkazując im wyrzucić za bramę tę żebraczą hołotę. Jeden tylko królewicz Jajomir okazał więcej serca. Ze łzami w oczach dał Gdakuleńce dukata i swoją jedwabną chusteczkę do nosa, prosząc, żeby nią buzię obmyła. Obiecał jej, że każdą niedzielę całą swoją pensję tygodniową włoży w kolorowe jajko z napisem „wivat Gdakuleńka“, które Gdakusia odnajdzie w krzaczkach niezapominajek rosnących koło studni. Każdej niedzieli będzie wybiegał wieczorem, ażeby zobaczyć Gdakuleńkę, choćby zdaleka.

Dobroć królewicza tak rozrzewniła biedną dziewczynkę, że z płaczem rzuciła mu się na szyję, dziękując, że nie opu-

szcza jej w nieszczęściu. Ale w tej chwili jeden z pachółków oderwał ją przemocą i razem z Gdakaczem i Gdakulą bezlitośnie wypchnął za bramę.

Tymczasem noc zapadła, król i królowa udali się do komnat zamkowych, ażeby podumać nad dziwną zmianą, której ulegli Gdakaczowie, a lud zebrany na festynie królewskim, tłumnie podążył ku pałacowi Gdakacza, chcąc urządzić kocią muzykę żebrakom, którzy przed chwilą jeszcze uchodzili za panów. Ale zanim doszli do rynku usłyszeli głos stróża nocnego, który wrzeszczał w niebogłosy:

Hej ludzie! ludzie! śpieszcie do miasta!

Właśnie godzina biła dwunasta,

alebym o tem nie mówił wam,

gdyby się cudo nie stało tam!

Bo nim zdążyłem wykrzyknąć „och“!

pałac książęcy rozpadł się w proch,

pałac z marmuru z tysiącem szyb,

co to raz w nocy wyrósł jak grzyb

i znów plac pusty, jak przedtem był,

we wrotach krowa ryczy co sił.

Hej! lećcie ludzie! lećcie kto żyw!

pośpieszcie wszyscy oglądać dziw!

a raczcie ognia i światła strzec,

bo mógłby gród nasz w popiołach lec,

i chwalcie Pana nad pany!

Rzeczywiście, cudowny zamek książąt ulotnił się jak kamfora. Nie było już książąt, służby, kotów, ni myszy; na opustoszałym placu pluskał, jak dawniej, stary wodotrysk miejski, który zdawał się nie mieć nawet wyobrażenia, czyje zajął miejsce.

Biedni sklepikarze długo patrzyli w pustą przestrzeń, a potem ze zwieszonemi smutnie głowami powrócili do domów, myśląc z boleścią, że niema już dla kogo piec bułek i nadziewać kielbas i salcesonów, bo niema już dworu książęcego.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tymczasem Gdakacz, Gdakula i Gdakuleńka szli, jak niegdyś, przez ciemny, czarny bór, do ruin zamku kurnickiego. Dziś jednak byli o wiele smutniejsi, niż przed rokiem. Żadne z nich nie śmiało ust otworzyć. Gdakula zarzuciła nawet fartuch na głowę, wstydząc się swojej brzydoty i starości. Ach, nie mieli dziś także ukochanego koguta i kury, których głosy zawsze nadzieję budziły w ich sercach. Kiedy weszli na wzgórze, z którego dojrzeć było można mury Jajogrodu, Gdakacz zatrzymał się i, wyciągnąwszy ściśniętą pięść w stronę miasta, rzekł ponuro:

— Żegnaj, nikczemny grodzie, w którego murach ukrywa się zbrodniarz, co mi wydarł pierścień króla Salomona! Żegnaj, nikczemny królu Jajożerze. Jakże bezwstydnie zdeptałeś mnie w nieszczęściu, a nie przyszło Ci nawet na myśl zwrócić mi pieniądze, których tyle pożyczyłeś ode mnie!

Imć Gdakula zaszlochała, słysząc te słowa i utarłszy nos fartuchem, rzekła:

— Żegnaj mi, królowo Jajolęgio, zapomniałaś już, jakie doskonale ciasta posyłałam Ci w podarunku! Setki jaj, pomalowanych przeze mnie w najcudniejsze pisanki, zdobi Twój buduar i salon. Najchętniej pozwalałam, żeby moja krawcowa szyła i twoje suknie! Oddawałam ci najmodniejsze fasony kapeluszy i czepków nocnych! A dziś, gdy skut-

kiem nieszczęścia utraciliśmy czarowny pierścień króla Salomona, Ty, królowo Jajolegio, kazałaś nas, zgłodniałych i obszarpanych, wyrzucić za bramę zamkową!

Gdakuleńka wyciągnęła także rączki w stronę Jajodworu, mówiąc:

— Żegnaj mi, drogi mój malutki królewiczu Jajomirze! Ty jeden byłeś tylko dobry dla biednej Gdakuleńki! Dałeś mi swojego dukata, dałeś mi swoją jedwabną chusteczkę do nosa, żebym nią sobie buzię obmyła. Każdej niedzieli obiecałeś dawać jajko w krzaczku niezapominajek, rosnących koło studni i do jajka tego wkładać będziesz całą swoją pensję tygodniową.

— Ach, drogi mój malutki królewiczu! Ty jeden nie wstydzisz się biednej Gdakuleńki! Ty jeden nie odepchnąłeś jej od siebie: Ach, gdybym była miała więcej czasu, byłabym dała ci na pamiątkę moją śliczną lalczkę mechaniczną. Ledwie wymówiła te słowa, Gdakacz krzyknął z uniesieniem:

— Lalkę! ty masz lalkę! A, niepocziwy, nieposłuszny bębnie! Gadaj mi w tej chwili, skąd masz lalkę!? Ach, teraz zaczynam się domyślać, skąd spadło na nas to straszne nieszczęście! — i Gdakacz skoczył, chcąc pochwycić za ramię córeczkę, ale Gdakuleńka przerażona srogim wyrazem jego twarzy, jak strzała pomknęła na najwyższy cypel skalny i tu zatrzymawszy się nad samą przepaścią, zawołała, wznosząc rączki ku niebu:

— Tatku mój! nie gniewaj się!

Mamo droga! ratuj mnie!

bo zobaczą wasze oczy,

że Gdakusia w przepaść skoczy.

Przerażona Gdakula zaczęła prosić męża, żeby przebaczył Gdakuleńce, a Gdakacz rzekł:

— No, no, nie bój się stara, już ja jej tam krzywdy nie



zrobię! Niechno mi tylko opowie, skąd i od kogo ma lalkę, o której wspominała przed chwilą?

Gdakuleńka zaczęła mówić, z wielkim strachem spoglądając na ojca, który w czasie jej opowiadania od niechcienia ścinał kozikiem giętkie gałęzie brzozy, rosnącej tuż koło skały. Przy świetle księżyca, gałązki te, oskubane z listków i wiązane jedna z drugą, dziwnie przypominały, jeżeli nie miotłę, to przynajmniej różgę. Ale nie było rady, Gdakuleńka musiała wypowiadać się ze wszystkich win:

Do ogródka mego krat,  
podszedł dzisiaj stary dziad.  
W pelerynie lalkę miał,  
którą oddać mi się bał,  
lecz nakazał jej łaskawie,  
by tańczyła na murawie.

— No, dowiemy się tu ładnych rzeczy! — krzyknął Gdakacz i ściał spory pręt brzeziny — a, niepocziwe stworzenie! Ale Gdakusia poprawiła się natychmiast:

„To nie lalka, tylko śliczne,  
takie cacko mechaniczne,  
raz panienka, raz wieśniaczka,  
raz kucharka, raz rybaczka,  
to służąca znów z trzepaczką,  
ogrodniczka z polewaczką —  
i tak dalej i tak dalej — — —  
bo moc przebrań u tej lali.

— A, niepocziwe dziecko — mruknął Gdakacz z gniewem, a Gdakusia mówiła dalej:

Śliczna, tatku, mówię ci,  
aż się serce rwało mi,  
że za małą już chwileczkę,  
muszę oddać tę laleczkę.

żebrak wziął ją jedną ręką,  
 coś pokręcił pod sukienką,  
 (zaraz coś w niej zachrząściło)  
 i maleństwo się ruszyło  
 i zaczęło ku mnie biec  
 a jak ślicznie, trudno rzec!  
 Biegło ku mnie prędko tak,  
 jak zwierzątko, albo ptak.  
 Ach, jakżem się przeraziła,  
 kiedy główką w kratę biła!  
 I choć stary dziad jest zły,  
 wiem, że prawdę mówił mi,  
 że to nie jest lalka żadna,  
 lecz figurka tylko ładna,  
 takie sobie żywe, śliczne,  
 małe cacko mechaniczne.

— A, wykrętny oszust! — krzyknął Gdakacz mimowolnie  
 i ściał kozikiem nową gałązkę brzeziny. Gdakusi bardzo się  
 to niepodobało i zawołała płacziwie:

To, tatusiu, nie wykręty —  
 więc rzuć, proszę, swoje pręty,  
 będę grzeczna, póki życia!  
 bo się bardzo boję bicia!

Na to Gdakacz odparł poważnie:

Gdakuleńko, nie bądź trwożna.  
 Taką różgą bić nie można,  
 bo to tylko giętkie, śliczne,  
 takie cacko mechaniczne!

a na to Gdakusia:

Cacko z różgi? ach, nie wierzę!  
 Tatko pręty ścina świeże!

Już ich związał całą furę,  
oj, dostanę pewnie w skórę!

wtedy Gdakacz rzekł:

Tak, za lalkę twoją śliczną,  
dam ci różgę mechaniczną!

Cała odwaga opuściła Gdakusią, biedactwo ukłękło na  
cyplu skalnym i wyciągając nad przepaścią rączki zawołało:

Tatku, przebacz! błagam cię,  
mamo droga, ratuj mię!  
Bo zobaczą wasze oczy;  
że Gdakusia w przepaść skoczy.

Imć Gdakula zaczęła znowu wstawiać się za Gdakusią,  
a Gdakacz rzekł:

— Powiedziałem już raz, że nic jej złego nie zrobię.  
Niech mi tylko opowie wszystko dokładnie, co powiedział jej  
żebrak i co mu dała wzamian za tę lalkę. Uspokojona Gda-  
kusia zaczęła znowu:

Ach, dziad stary płakał rzewnie —  
biedny, nie miał babci pewnie,  
ani ojca, ni mateczki,  
ani syna, ni córeczki,  
nie miał brata, ni siostruni,  
ani wujcia, ni ciotuni.  
Łzy spływały z jego lic,  
kiedy mówił „nie mam nic!!“  
Ale miał coś: wielki nos  
i na głowie kręty włos,  
miał i wąsy, brodę siwą,  
i twarz bardzo nieszczęśliwą!

— A, łotr nikczemny! — krzyknęła Gdakula i zerwaw-  
szy tęgi pręt brzozowy, dołożyła go do wiązki, trzymanej

przez męża, — to ten łotr tak nikczemnie okraǳił nas i wlepił mi taki ohydny, długi nos!

— Tak, tak, Gdakulo, niejedno zawdzięczamy temu staremu dziadowi i córce naszej, — odparł na to Gdakacz, — tobie przyprawił nos, a mnie łysinę i brodę. O, przekłeta figurko mechaniczna! Jakiemiż figurami okropnemi staliśmy się przez ciebie! Opowiadaj dalej, Gdakusiu i mów, czego dziad ten żądał wzamian za twoją lalkę?

Na to odrzekła Gdakusia drżąc z przestachu:

Mówił, że z tą lalką cudną  
rozstać mu się bardzo trudno;  
lecz ją chętnie da Gdakusi,  
tylko pierścień twój mieć musi.  
Nie chce wziąć go, Boże broń!  
raz chce tylko zajrzeć doń,  
raz na palcu mieć go chce,  
żeby smutku pozbyć się.

— A, oszust nikczemny! wrzasnęła Gdakacz i ty, głupi, lekkomyślny bębnie, usłuchałaś go? Usłuchałaś, czy nie? Ściągnęłaś pierścień z palca śpiącego ojca, żeby go dać temu łotrowi? Mów, mów, czy zrobiłaś to, czy nie? Gadaj mi w tej chwili, bo cię ze skały zrzucę! — krzyczał z takim gniewem, że Gdakusia znowu zaczęła mówić, płacząc rzewnie:

Tatku, przebacz, błagam cię!  
Mamo, mamo, ratuj mnie! —  
Kiedy zmierzchnął trochę dzień,  
weszłam cicho, niby cień,  
— bojąc się kroku każdego —  
do pokoju tatowego.  
Tyś tak tatko smacznie spał,  
że, jak stary żebrak chciał,  
z palca twego pierścień zdjęłam  
i dziadowi go wsunęłam,

Widać że był bardzo rad,  
 bo się zaśmiał stary dziad.  
 Spojrzał raz, i oddał już.  
 A ja drżąc, jak mały tchórz,  
 pierścień znów odniosłam ten,  
 nim twój, tatku, minął sen.

Gdakusia zatrzymała się dla zaczerpnięcia oddechu i otarłszy zapłakane oczka, mówiła dalej:

Ach, źle zrobiła Gdakusia mała  
 i teraz z strachu trzęsie się cała;  
 nigdy już, nigdy, więcej nie zbroi,  
 bo tatka gniewu bardzo się boi!  
 Ale jej tatuś pewnie przebaczy,  
 kiedy tę lalkę cudną zobaczy!  
 Nie, nie lalkę, tylko śliczne,  
 małe cacko mechaniczne;  
 tak zrobione jak prawdziwe,  
 takie miłe i ruchliwe.  
 Zaśmiałyby się nawet gład,  
 gdyby spojrzął na nią raz.

To rzekłszy, Gdakuleńka wyjęła z kieszeni laleczkę, nakręciła ją kluczykiem i postawiła na ziemi. Lalka puściła się pędem nadół, tak wdzięcznie przebierając nóżkami, że Gdakusia klasnęła w rączki z zachwyty i, zapomniawszy o wszystkim, zaczęła biec za nią. Na to tylko czekał Gdakacz. Ledwie zbiegła ze stromej skały, chwycił ją za ramię, wołając:

— A, mam cię nareszcie, ty nieposłuszny bębnie! Czy nie zabraniałem ci po setki razy, dotykać mego pierścienia? A ty, nietylko go ruszyła, ale ośmieliłaś się nawet zdjąć go z mego palca i oddać nędznemu dziadowi, który go wymienił na fałszywy, nie wart grosza jednego. Spójrzyj teraz, w jaką nędzę pogrążyłaś nas wszystkich, dlatego, że ci się zachciało mieć tę obrzydliwą lalkę!

Na to Gdakusia krzyknęła, wydzierając się z rąk Gdakacza:

— Tak  
 To nie lalka! to jest śliczne,  
 małe cacko mechaniczne!  
 puść mnie tatku! puśćże mnie!  
 moja lalka stłucze się!  
 Już mi z oczu płyną łzy,  
 moja lalka zginie mi!  
 Ona przecież nie zna dróżki  
 i połamie sobie nóżki!  
 Chwyć ją mamó! mamó, chwyć!  
 moja lalka musi żyć!  
 jeszcze spadnie, Bóg wie gdzie  
 i w kawałki stłucze się!

Na rozpaczliwy krzyk Gdakuleńki, Imć Gdakula zaczęła biec za laleczką, która jak strzała pomykała przez mchy i trawy ku ciemnemu lasowi.

Zaledwie jednak Gdakula zrobiła parę kroków, potknęła się na kamieniach i z krzykiem potoczyła się o parę metrów wdół. Widząc to, Gdakacz uniósł się jeszcze większym gniewem i ścisnąwszy rączkę Gdakusi jak w kleszczach zawołał:

— Dość już twoich kaprysów, Gdakuleńko! Chcesz jeszcze, żeby matka połamała nogi, goniąc tę wstrętną lalkę, która jest przyczyną całego naszego nieszczęścia! Sprawiedliwość musi być wymierzona! Wybieraj jedno z dwojga, albo w tej chwili dostaniesz tak różgą, że popamiętasz ją na całe życie, albo wyrzekniesz się raz na zawsze tej lalki.

Na to Gdakusia szarpnęła się w rękach ojca i krzyknęła, tupiąc nóżkami ze złości:

To nie lalka, tylko śliczne,  
 takie cacko mechaniczne!

Tego już Gdakaczowi było za wiele, jak nie przełoży

Gdakusi przez kolano i jak nie zacznie bić od ucha, powtarzając:

To nie różga! tylko śliczne,  
takie cacko mechaniczne!

A Gdakusia w krzyk:

Mamo ratuj! ledwie żyję!  
Wstrzymaj różgę, niech nie bije!

Ale w odpowiedzi różga mocniej zaświszczała w powietrzu, bo Gdakacz ręki nie żałował, ale bił dalej, wołając:

Bijże różgo, bij do woli,  
niech przez cały tydzień boli!

I byłby nieprędko puścił Gdakusieńkę, bo bardzo był na nią rozgniewany, gdyby nie Gdakula, która słysząc żalosny płacz swojej pieszczotki zaczęła jęczeć i błagać Gdakacza, żeby jej pomógł dźwignąć się z ziemi, bo sama ruszyć się nie ma sił. Ledwie Gdakacz odwrócił się w stronę jęczącej żony, Gdakuleńka wyrwała się z jego rąk, i otrząsnąwszy się, jak po gorącej łaźni, co tchu pogoniła za laleczką, której drobna figurka migiała na ścieżynce, jakby miała nie dwie, ale cztery nóżki i za chwileczkę znikła w gąszczu leśnym. Gdakuleńka pomknęła za nią w bór ciemny. Gdakacz z trudem wywinął Gdakulę na wzgórze, z którego się stoczyła. Z całego opowiadania Gdakuleńki wywnioskowali oboje, że oszust, który im wykradł pierścień króla Salomona, musiał być jednym z trzech handlarzy-rytowników, którzy ongiś chcieli wymienić Alektrja za 9 łokci wstążki. Narzekając na lekko-myślność Gdakusi i na jej zamiłowanie do lalek, dostali się wkońcu do stóp skały, pod którą zostawili córeczkę, ale próżno rozglądali się dokoła i nawoływali ją — Gdakusi nie

było nigdzie. Wtedy cała ich rozpacz, spowodowana nagłą zmianą losu, ustąpiła miejsca przerażeniu z powodu zniknięcia dziecka. Zaczęli biec to w tę stronę, to w tamtą stronę, wołając ile sił: „Gdakusiu!“ Gdakuleńko!“ — a słysząc echo, które z oddali odpowiedziało im „usiu!“, „eńko!“, sądzili, że to Gdakusia ich woła: „tatusiu!“, „mateńko!“ i zapuszczali się coraz dalej w bór, błędząc wśród ciemności.

Dopiero nad ranem zeszli się oboje pod murami zamku kurnickiego, ale niestety, żadne z nich nie odszukało Gdakuleńki. Wszystkie ptaszki zatrzepotały skrzydełkami na ich widok i podleciały ku nim, chcąc powitać ich na wstępie do zamku, ale Gdakacz i Gdakula nie zwrócili uwagi na maleńkich swoich przyjaciół, tylko wyciągali wychudłe ramiona ku puszczy leśnej, która pochłonęła ich jedyne dziecko i wołali z rozpaczą:

— Gdakusiu! Gdakuleńko, wracaj! Wracaj, chociażby z lalką nawet! Tak, tak, to przecież nie jest lalka, tylko cacko mechaniczne! Już Ci nic nie zrobimy, tylko wracaj, Gdakusiu, córeczko nasza kochana!

Ale znikąd nie było odpowiedzi. Wtedy biedni rodzice usiedli na progu kurnika i zapłakali rzewnie nad nieszczęściem swoim, a wszystkie ptaszki płakały razem z nimi.

Gdzieś około południa Gdakacz powstał i wystrugawszy z drzewa dwa porządne kostury, podał jeden z nich Gdakuli, mówiąc:

— Nie płacz, droga żono! Prawda, że Bóg dotknął nas srogiem nieszczęściem, ale wszakże nie wypada księciu Gdakaczowi na zamku kurnickim i księżnie Gdakuli z Kuroszów poddawać się rozpaczy. Ufni w miłosierdzie Boskie, dziś jeszcze powędrujemy w świat, szukać ukochanej córki naszej, księżniczki Gdakuleńki i jeśli z głodu nie pomrzemy — odnajdziemy ją z pewnością. Może, chodząc po świecie, wpadniemy także na ślad złodzieja, który nam ukradł pierścień



króla Salomona. Ty pójdziesz w prawo, a ja w lewo, Gdakulo! — Raz w miesiąc zejdziemy się w zamku kurnickim i opowiemy sobie o wynikach naszych poszukiwań.

Gdakula z radością przystała na projekt Gdakacza, poczem biedni staruszkowie uściskali się z całego serca i ująwszy kostury w rękę, pośpieszyli na rozstajne drogi. Gdakacz poszedł w lewo, Gdakula w prawo; szli tak i szli, a gdy doszli do wsi lub miasta jakiego, stawali przed drzwiami domów i śpiewali ze łzami:

Ach, Bóg ciężko dotknął nas,  
dziecko nam pochłonął las,  
idziem ciągle w łzach i trudzie,  
gdzie jest dziecko nasze? ludzie!  
Dobrzy ludzie! kto z was wie,  
gdzie córeczka nasza, gdzie?  
Do poznania łatwa stąd,  
że ma długie włoski blond;  
oczka ma, jak chabru kwiat  
i około ośmiu lat.  
Usta drobne, jak wisienka —  
Chociaż w strzępach jej sukienka,  
zaraz poznać można z liczka,  
że prawdziwa to księżniczka.  
Gdy o imię spytać ją,  
dygnie, rączkę poda swą,  
mówiąc: „tatuś i mateńka  
zwią mnie zwykle: Gdakuleńka“.  
W starych łapciach, nawpół boso,  
mknie po polach, srebrnych rosą,  
biegnie, małą lalkę ściga,  
co jak myszka przed nią śmiga.  
Biegnie, krzycząc: „to jest śliczne,  
małe cacko mechaniczne!“  
Ach, ta lalka w moc zdradzieczą  
pochwyliła nasze dziecko

i zawiiodła w ciemny las!  
 Boże dobry, wspomóż nas!  
 W szczerotę modlitw naszych wierz,  
 Gdakuleńki małej strzeż!  
 Jeśli wola życie skróć,  
 lecz nam dziecko nasze wróć!

**Ale zawsze odpowiadano im ze współczuciem:**

Nie, myśmy dziecka tu nie spotkali.  
 Musicie, biedni ludzie, iść dalej;  
 a od nas przyjmcie, jeżeli Wam trzeba,  
 życzliwe słowo i kromkę chleba.

**Biedni wędrowcy, przyjmowali ofiarowany im chleb z wdzięcznością i szli dalej, mieszając chleb spożywany ze łzami.**

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tymczasem Gdakuleńka dziwne przechodziła koleje. Trzeba przyznać, że choć Gdakacz różgi nie żałował, płacz jej i krzyk były wywołane nie tyle bólem ile obawą, że straci z oczu ukochaną lalkę, która wpadła na ścieżkę wiodącą do ciemnego boru i bez wytchnienia biegła, przedzierając się przez gąszcz i krzaki. Parę razy przystawała na chwilę, ledwie jednak Gdakusia wyciągnęła rączkę, żeby ją pochwycić, zaczynała znowu pędzić jak szalona. Coraz ciemniej, czarniej było dokoła, wkońcu, nie czując już nóg ze zmęczenia, Gdakusia padła na ziemię i zawołała z płaczem: — Ach, jakaś ty niedobra, ogrodniczko maleńka! Ja ciebie tak kocham, że wolałam dostać od tatka w skórę, aniżeli się ciebie wyrzec, a ty ciągle uciekasz ode mnie, jakbym była najgorszym twoim wrogiem.

Dopiero kiedy to powiedziała, uprzytomniła sobie, że musiała zabłądzić w lesie. Ciemno było, że oko wykol, nigdzie ani śladu jakiegokolwiek ścieżyny. Gdakuleńka zaczęła biegać to w tę, to w tamtą stronę, wołając: „tatusiu!“ „mateńko!“ — ale tylko echo odpowiedziało jej gdzieś z oddali — „usiu!“ „eńko!“.

Bez sił padła na ziemię i wkrótce zasnęła głęboko. I śniło się jej, że figurka mechaniczna stoi przed nią, a Gdakusia mówi do niej: — Prawda, że ty nie jesteś zwyczajną laleczką, tylko ślicznem cackiem mechanicznem? Wtedy usłyszała

cieniutki głosik, który rzekł: — Właściwie, kochana moja Gdakuleńko, nie jestem ani lalką, ani cackiem mechanicznem, tylko... przy tych słowach Gdakusia się przebudziła i przez niedomknięte powieki zobaczyła, że laleczka stoi już koło niej.

Wyciągnęła obie rączki i zanim się lalka spostrzegła, schwyciła ją, mówiąc: — Ach mam cię wreszcie, laleczko moja śliczna! Oh, nie puszczę cię teraz, bo kocham cię jeszcze bardziej, odkąd wiem, że umiesz mówić! Poczekaj, malutka, dam ci coś do zjedzenia, bo musisz być bardzo głodna — i Gdakusia wsunęła jej w buzię parę okruszków chleba, a słysząc, że je chrupie, zapytała znowu, czy jest żywa, czy zrobiona tylko? Ale laleczka nic na to nie odpowiedziała i miała taką minkę, jakby nigdy mówić nie umiała. Gdakusie to rozgniewało i bojąc się, żeby lalka znowu jej nie uciekła, zdjęła pończoszkę i przywiązała ją mocno do swojej ręki. Potem pomodliła się, żeby jej Bóg pomógł nazajutrz odszukać rodziców i nakrywszy głowę fartuszkiem, zasnęła. I znowu się jej śniło, że maleńka ogrodniczka mówi:

— Gdakuleńko droga, leż cichutko i nie budź się, bo tylko we śnie możesz zrozumieć moje słowa. I ja ciebie bardzo kocham za to, że wołałaś dostać różgą, aniżeli mnie opuścić. Ach, bo trzeba ci wiedzieć, że nie jestem ani lalką, ani cackiem mechanicznem, jestem malutką uwięzioną królowną! I pomyśl tylko, jak wielką była moja wdzięczność dla ciebie, skoro nie uciekłam od ciebie, choć bardzo niedaleko stąd, bo tylko o godzinę drogi, mieszka w zamku królewskim mój ukochany królewicz-małżonek, który pewnie po stracie swojej malutkiej żony gorzkie łzy wylewa. Widzisz, że i ja ciebie kocham Gdakusiu, bo zostałam umyślnie poto, żeby, skoro zaśniesz, wytłumaczyć ci wszystko, bo mówiłam ci, że dzieci tylko we śnie rozumieją mowę zwierzątek. — Jakto? zawołała Gdakusia — ty jesteś królowną? I twój królewicz i cała

twoja królewska rodzina są takimi cudnymi figurkami, jak ty? I umieją ruszać się i mówić? Ach, lalusi! najdroższa, zaprowadź mnie prędko do nich, jak żyję nie widziałam nic równie pięknego!!!

— Oh, nie! Na szczęście nie są takimi figurkami, bo byliby równie, jak ja, nieszczęśliwi. Ja, Gdakuleńko, jestem biedną, maleńką myszką-królową Ciapcią Gryziwiórką, od dwóch dni dopiero dźwigam na sobie tę przekłętą figurkę, którą mi dziad przymocował do grzbietu tak mocno, że w żaden sposób uwolnić się od niej nie mogę.

Była to ta sama maleńka myszka, której Gdakacz uratował życie w pierwszą noc po wprowadzeniu się do zamku kurnickiego, którą wraz z mężem przenocował w baraniej czapce i nazajutrz odwiózł do mysiego państwa, rozciągającego się po drugiej stronie rzeki.

Księżniczka Ciapcia zachowała Gdakacza w serdecznej pamięci i nie mogła sobie darować, że stała się pośrednią przyczyną nieszczęścia, jakie go dotknęło. W najczulszych wyrazach przyrzekła teraz Gdakusi, że uczyni wszystko, co tylko będzie mogła, ażeby Gdakaczom wrócić świetność, utraconą przez tę mechaniczną figurkę, którą nosi na sobie; prosiła, żeby ją Gdakusia uwolniła od tej lalki, a potem żeby poszła z nią do jej królestwa, gdzie natychmiast zwoła Wielką Radę państwa i obmyśli plan wyprawy w celu odnalezienia złodzieja, w którego posiadaniu jest pierścień; prosiła Gdakusie jeszcze, żeby na posiedzeniu Wielkiej Rady starała się zasnąć, co ułatwi jej zrozumienie języka narodowego myszy. Gdakusia obiecała zrobić wszystko, co jej Ciapcia nakaże i poprosiła, żeby jej opowiedziała, skąd się wzięła w tem cacku mechanicznym?

— Ach, odpowiedziała lalczka, — właśnie wybraliśmy się w drogę, żeby odbyć z mężem moim pielgrzymkę do jednej ze świątyń naszych, bo jeszcze w czasie naszej podróży po-

ślubnej ślubowaliśmy to uczynić. Właśnie wybraliśmy się w drogę. Wypadło nam noc przebyć w jednym domu zajezdnym. W kącie izby spali na słomie trzech brodaci mężczyźni, tytułujący się: miłośnikami przyrody, filozofami, rytownikami i handlarzami. Woń słoninki smażonej zwabiła mnie, i sama nie wiem, kiedy znalazłam się w pułapce. Na drugi dzień rano jeden z trzech mężczyzn wyjął mnie z pułapki, mówiąc:

— Ach, mam nareszcie to, czego mi potrzeba! I natychmiast cienkim drucikiem przymocował mnie pod sukienkę malutkiej laleczki.

Niepocziwy człowiek aż w ręce klasnął z radości, kiedy zaczęłam biec to tu, to tam. Wiedział dobrze, że lalka, którą dźwigam na grzbiecie jest za ciężka, żebym daleko z nią uciec mogła.

Z początku biegałam po stole, ławkach i podłodze: dziad cieszył się i śmiał, a wkońcu rzekł do siebie, ale tak, że go usłyszałam:

— Jeżeli ta mała myszka nie zrobi wszystkiego, co jej każę — to albo ją głodem zamorzę, albo lepiej jeszcze, dam ją kotowi na pożarcie.

Tak się tej groźby przelęknłam, że odtąd byłam mu we wszystkim posłuszną, z upragnieniem oczekując chwili, w której będę mogła mu umknąć.

Umiłowanie swobody i świadomość, że mój dwór królewski jest bardzo niedaleko, wlały we mnie tyle sił i energii, że pomimo trudów i zmęczenia, doczekałam się chwili uwolnienia! Resztę wiesz sama Gdakuleńko; teraz tylko nie przerażaj się, bo muszę cię w ucho ukąsić, żebyś mogła się zbudzić i zdjąć ze mnie tę figurkę mechaniczną, która mnie tak męczy! Potem zaprowadzę cię do mego państwa i znajdę ci doskonałe miejsce do spoczynku, tak żebyś śpiąc mogła wziąć udział w naradach naszych.

Powiedziawszy to, myszka delikatnie ukąsiła Gdakuleńkę w koniuszek ucha, czem przebudziła ją odrazu.

Noc panowała dokoła, ale księżyc świecił tak jasno, że Gdakusia bez trudu odnalazła laleczkę, a odchyliwszy sukienkę, ujrzała śliczną białą myszkę z maleńką złotą koroną na główce. Ostrożnie rozplątała drucik, który ją opasywał i w małą chwilkę później, myszka już biegła po trawie, wywijając z radości koziółki; Gdakusia zaczęła iść za nią, ale myszka biegła tak prędko, że co chwila traciła ją z oczu i wtedy wołała żałośnie: „Królewno-myszko! nie uciekaj i nie zostawiaj mnie samej w tym lesie“ — i natychmiast myszka piszczała głośno i fikała koziółki w górę ponad trawę, tak że Gdakusia mogła zobaczyć ją i iść dalej.

Szły tak może z pół godziny, kiedy nagle doleciał z oddali dźwięk delikatnego gwizdu. Gdakusia z podziwem ujrzała na pobliskim wzgórku stolicę państwa myszy. Jak pięknem było ich miasto, trudno naprawdę wypowiedzieć.

Zaledwie królowna ukazała się w bramie zamkowej, radosne gwizdy i piski rozległy się w całym mieście, a z zamku wypadły dziesiątki białych myszy. Ale królowna nie chciała wejść do pałacu, tylko zaczęła coś mówić, odwracając główkę w stronę Gdakuleńki.

Pewnie opowiadała im o niej, bo wszystkie myszki zwróciły łebki ku dziewczynce, piszcząc i gwizdząc wesoło. Ale Gdakusia ni jednego słówka zrozumieć nie mogła. Wtedy rzekła do nich: Myszki moje kochane! Zaraz położę się spać, bo chcę trochę porozmawiać z Wami. Ledwie wymówiła te słowa, myszki pisnęły radośnie, zwołały tysiące towarzyszek i zaczęły znosić mięciutki mech, który ułożyły w suchym miejscu, pod dębem, rosnącym nieopodal. Gdakusia się domyśliła, że to będzie łóżeczko dla niej, a czekając na ukończenie ich pracy, przypatrywała się ich miastu. Na szczycie wzgórza wznosił się zamek królewski, zbudowany w kształ-

cie czworoboku z najprzedniejszego sera holenderskiego. Okna i drzwi, zapewne według starego stylu, były różnej wielkości i szerokości ale i one nadawały budowli charakter poważny i majestatyczny. Na domach i terasach dostrzec było można śliczne, leciuchne ogródki. Ozdobą zamku były wieże, zrobione ze skórki sera i łupin migdałowych, użytych zamiast cegieł. Domki uboższych obywateli państwa zbudowano ze skorup dyni i melona, z twardych skórek razowego chleba, a także dobrze wysuszonych bułek. Najbiedniejsi mieszkają w starych butach i podartych kaloszach.

Miasto całe było utrzymane we wzorowym porządku; wszędzie, przy najuboższym nawet domku, widziała Gdakuś malutkie ogródki.

Gdzie niegdzie zauważyła otwory, wiodące do piwnic, spiżarni i lochów podziemnych. Najpiękniejszą jednak ze wszystkiego była ich świątynia, wznosząca się na środku miasta, na obszernym pustym rynku. Świątynia ta była zbudowana z czaszek końskich, w stylu gotyckim i ozdobiona tysiącami małych kosteczek misternie wyrzeźbionych a tak białych, że wyglądały jak z kości słoniowej.

Świątynię otaczał cmentarz z kostnicą, wzniesioną z samych mysich żeberk. Grobki maluchne ułożone były w największym porządku, jeden obok drugiego.

Księżyc świecił tak jasno, że najdrobniejszy szczegół nie uszedł uwagi Gdakusi. Z zachwytem patrzyła na ten mysi światek, tak misternie i z takim smakiem urządzone. Tymczasem myszki przygotowały jej łóżeczko, a Gdakuleńka czuła się tak wyczerpaną, że z rozkoszą wyciągnęła się na mchu i natychmiast zasnęła. Cała Wielka Rada myszy, jakoteż cała królewska rodzina, otoczyły ją kołem i zaczęły się obrady, które co do słowa zrozumieć teraz mogła.

Posiedzenie zagaik królewicz Ciapuś, który najpierw w tkliwych słowach wyraził radość z powrotu ukochanej



małżonki, królowy Ciapci Gryziwiórki. Cała Rada uczciła królową przez powstanie. Królowa podziękowała im skiniem łapki i sama głos zabrała mówiąc, że teraz jest najlepsza sposobność okazania wdzięczności książęcyemu rodowi Gdakaczów za dobrodziejstwa, jakich stary książę nie skąpił rodowi myszy. Potem opowiedziała swoje losy i spotkanie z Gdakuleńką. Ale kiedy wzruszona zaczęła opisywać przywiązanie dziewczynki do niej i męstwo, z jakim zniosła karę, wymierzoną jej różgą przez Gdakacza — jeden ze starszych radców odezwał się niespodziewanie: — „Co do różgi, ośmielę się zauważyć, że księżniczka Gdakuleńka zasłużyła na nią w zupełności. Wiadomo nam wszystkim, że ongiś księżniczka była wyraźnym sprzymierzeńcem najsroźszego naszego nieprzyjaciela k o c u r a; należałoby nawet zachować pewne środki ostrożności, bo kto wie, czy i dziś nie dostała się do naszego państwa w roli kociego szpiega...”

Brzydkie to posądzenie tak strasznie dotknęło Gdakusię, że rozplakała się rzewnie. Ale na szczęście nikt nie uwierzył szkaradnemu radcy dworu. Wszyscy ujeli się za dziewczynką i chcieli wyrzucić radcę ze zgromadzenia, ale potem ze względu na wiek sędziwy i zasługi jego, poprzestali na odebraniu mu głosu. Głos królewicza Ciapusia okazał się wkońcu decydującym: — „Kiedy owej nieszczęsnej nocy, rzekł, ukochana małżonka moja dostała się w moc nikczemnego rytownika-handlarza, który ją pod sukienkę lalki przymocował — postanowiłem iść choćby na kraj świata, ażeby odszukać moją maleńką Ciapcię. Na nieszczęście straciłem z oczu tego starego łotra i długo wędrowałem po różnych miejscowościach, zanim dotarłem nocą do jakiegoś nieznanego mi wspaniałego pałacu. W jednej ze sal uderzył mnie szczególny widok. Na środku stołu leżał prześliczny pierścień, a trzech młodych, wspaniale ubranych drabów, o bezczelnym wyrazie twarzy, kłóciło się zęb za zęb.

Każdy z nich miał na sobie jakiś dziwaczny uniform, nazywali się: Radca Dworu, Dostawca Dworu i Wielki Faktor Nadworny; wszyscy razem darli się, jak opętani. Każdy z nich pragnął porwać pierścień, ale ile razy wyciągnął po niego rękę, dwaj inni odpychali go gwałtownie. Wreszcie jeden z nich rzekł: — Ja pierścień wezmę, bo mnie się on słuszenie należy. Będę go nosił na palcu, a jak który z Was zechce, żebym o coś pierścień poprosił, to przyniesie mi złotego luidora. Pierścień jest mój, bo ja złapałem myszkę i przyczepiłem ją do lalki, dzięki czemu pierścień dostał się w nasze ręce.

— A to dobrze! — krzyknął drugi — a kto zrobił fałszywy pierścień, na który ten wymieniła Gdakuleńka, ja czy ty? Gdyby fałszywego pierścienia nie było, toby i prawdziwego nie było, więc prawdziwy do mnie teraz należy! — A na to wrzasnął trzeci:

— Hahaha! mówicie, że to wasz pierścień! a kto go wyłudził od małej Gdakuleńki, wzamian za lalkę mechaniczną? Kto go wam przyniósł? Kto się zemścił na Gdakaczu i jego rodzinie? Kto dzięki pierścieniowi zrobił z was pięknych młodych ludzi, piastujących najwyższe stanowiska w państwie? Pierścień do mnie należy i tknąć go wam nawet nie pozwolę!“

Na te słowa wszyscy trzej rzucili się ku sobie z pięściami, a gdy się rozpoczęła bójka, ja zręcznie wysunąłem się ze sali. Wiedziałem teraz, że Ciapcia moja żyje i że jest w rękach księżniczki Gdakuleńki, ukryta pod sukienką mechanicznej lalki. Czem prędzej pośpieszyłem do Jajogrodu, ale tu ku wielkiemu zmartwieniu swemu dowiedziałem się od całego tłumu myszy, raczących się odpadkami kuchni księżęcej, która w chwilę później wraz z całym pałacem znikła z powierzchni ziemi, że nieszczęśliwy Gdakacz został wygnany wraz z żoną i dzieckiem i jak ostatni nędzarz, okryty

łachmanami powlókł się do zamku kurnickiego. Pośpieszyłem znanymi mi drogami do zamku, ale tu zastałem tylko osieroconych rodziców, oplakujących stratę Gdakuleńki, która, jak ze słów ich wywnioskowałem, zabłądziła w lesie, goniąc lalkę mechaniczną. Udałem się więc na dalsze poszukiwania i oto niespodziewanie odnajduję Ciebie, Ciapciu i przyjaciółkę Twoją, Gdakuleńkę, w murach naszego Mysio-grodu. Bogu niech za to będą dzięki! Teraz wydaje mi się, że należałoby pomyśleć o odebraniu oszustom pierścienia i zwróceniu go Gdakaczom, co mam nadzieję da się uskutecznić w najbliższym czasie.“ — „Co to, to nie!“ — wykrzyknęła na to królowna Ciapcia. „Dość się natęskniłam za Tobą. Teraz nie rozłączymy się już tak prędko. Udamy się razem na poszukiwanie pierścienia — bo Ty jesteś tak roztargniony, że mógłbyś zaniedbać jakiej ostrożności i popsuć całą sprawę! Gdakuleńka pójdzie także z nami!“ — „Ach tak!“ zawołała Gdakusia radośnie klaszcząc w ręce — „pójdę z Wami, myszki moje złote, a jak tylko odzyskam pierścień króla Salomona, obiecuję przysłać królewskim waszym rodzicom cztery centnary sera holenderskiego, dla odbudowania królewskiej rezydencji, duży worek najlepszych migdałów w łupkach, i centnar szynki litewskiej dla urządzenia uczyty całemu ludowi i wszystko, czego tylko szlachetny ród myszy zapragnie!“

— Dzięki! wykrzyknął stary król — właśnie moja królewska małżonka szepce mi do ucha, że pragnęłaby bardzo skosztować przed śmiercią toruńskich pierników, warszawskich czekoladek, krakowskich marcypanów, lwowskich obwarzanków, jarosławskich herbatników i jeszcze trochę innych krajowych smakołyków, w rodzaju kołaczów z serem i pajaców z piernika.

— Obiecuję, że jak tylko odzyskam pierścień króla Sa-

lomona, Wasza Królewska Mość otrzyma wszystko, co wymieniła — odpowiedziała uroczyście Gdakuleńka.

— Zatem — zawołał stary Król — jutro skoro świt Ciapuś i Ciapcia wyruszą w drogę wraz z tobą, miła sercu naszemu Gdakuleńko! A teraz pójdziemy, dziatki, do świątyni prosić Stwórcę o błogosławieństwo dla waszej wyprawy. Zasnij tymczasem, Gdakuleńko, i śpij spokojnie, dopóki cię nie zbudzimy!“

Wszystkie myszki ustawiły się parami i długim szeregiem podążyły do świątyni. Każda niosła w pyszczku kawałek świecącego próchna, który po drodze ostremi ząbkami odgryzała od pnia suchej wierzby, rosnącej wpobliżu. Przyświecając sobie temi pochodniami, myszki zbliżyły się do świątyni i zanuciły następujący hymn:

#### HYMN MYSZEK.

Najmniejszy pyłek świata  
jest znany Panie ci,  
ku Tobie duchem wzłata  
o Twojej chwale śni.

Do Ciebie — do Ciebie,  
nasz Ojciec na niebie  
modli się codzień szczerze  
człowiek i ptak i zwierzę.  
Słowik ci śpiewa w ciszy,  
skrzelkami rybka dyszy  
i pszczołka w kwiatku buczy  
i bąk paciorek mruczy.

Na Twoją, Panie, wiekiustą chwałę  
modlitwę korną nucą myszki białe.

Dla Ciebie ptak z tęsknotą  
piosenki śpiewa wciąż  
i Tobie łuską złotą  
przyświeca w trawie wąż.

Do Ciebie — do Ciebie... i t. d.



\*BIBLIOTEKA\*  
BN  
\*NARODOWA\*

I niemy, choć błagalny  
Ty słyszysz rybek śpiew,  
gdy proszą, byś nawalnej  
odwrócił burzy gniew.

Do Ciebie — do Ciebie...

Tańczące w słońcu muszki  
ogarnia szczęścia szal  
za życia te okruszki,  
któreś im Panie dał.

Do Ciebie — do Ciebie...

Popchnięte dłonią Twoją  
zatacza słońce krąg  
i rzesze gwiazd się roją,  
strząśnięte z Twoich rąk.

Do Ciebie — do Ciebie...

I ziemię, kędy broi  
mysi i ludzki ród,  
moc jeno woli Twojej  
zepchnie do śmierci wrót.

Do Ciebie — do Ciebie...

Nie zginie wróbel z głodu,  
nie spadnie z łebka włos,  
więc słysz mysiego rodu  
błagalny, Panie, głos!

Do Ciebie — do Ciebie...

Trucizny i potrzaski  
niech Twoja zgniecie dłoń;  
potęgą Ty swej łaski  
nas od kocura broń.

Do Ciebie — do Ciebie...

Błogosław dobrej sprawie,  
odnaleźć pierścień daj  
i ukaż nam na jawie  
śpiżarni pełnej raj!

Do Ciebie — do Ciebie...

Przy dźwiękach tego hymnu Gdakusia zasnęła; dopiero nazajutrz rano zbudzili ją królówic Ciapuś i królowna Ciapcia. Wstała zaraz i poszła za nimi przez lasy, góry i doliny. Dziwna ta gromada zatrzymywała się tylko w większych wsiach i miasteczkach. Wtedy za zgodą królowny Ciapci, Gdakusia przymocowywała ją pod sukienkę lalki, a tańce i skoki lalki przyciągały publiczność, która rzucała dziecku parę groszy, za które Gdakusia kupowała chleba dla siebie i myszek. Bo tego dukata, którego jej podarował mały królówic Jajomir, wydała już oddawna.

Wiele dni wędrowali tak o chłodzie i głodzie, aż jednego poranku, kiedy nieopodal dużego, pięknego miasta Gdakusia zdrzemnęła się pod studnią, Ciapuś szepnął jej do ucha: — Ciesz się Gdakuleńko! Jesteśmy już u celu naszej podróży. Zaraz, jak tylko się obudzisz, pójdz do kościoła i proś Pana Boga, żeby się nasza wyprawa udała. My tymczasem spróbujemy dostać się do pałacu trzech rytowników, i gdybyśmy się czego dowiedzieli, damy ci znać natychmiast.

Gdakusia obiecała, że we wszystkim posłucha rady swoich maleńkich przyjaciół i wszedłszy do najbliższego kościółka, uklękła w najciemniejszym kąciuku i zaczęła się modlić gorąco. Ach, jak prosiła Boga, żeby jej pomógł odnaleźć pierścień, a potem, żeby ją zaprowadził do ojca i matki! Tymczasem myszki wsunęły się niepostrzeżenie do koszyka starej kucharki, która klęczała obok dziewczynki. Ciapuś poznał, że ta kobieta właśnie jest kucharką trzech rytowników, bo służyła u nich już za pierwszej jego bytności w pałacu. W czasie, kiedy Gdakusia klęczała w kościele, dużo osób przesunęło się koło niej. Dzięki ciągłemu obcowaniu z myszkami, słuch jej się tak zaostrzył, że słyszała prawie każde słowo, szeptane w modlitwie, przez ludzi, klęczących dookoła niej. Wszystkie usta drżały jedną prośbą: — „Panie zlituj się nad nami!“ — szeptał pierwszy. — „Uwolń miasto nasze od



Faktora Nadwornego, który namawia króla, żeby za drogie pieniądze coraz mniejsze bułeczki wypiekać kazał“. — „Panie“ — modlił się drugi „przepędźże raz na cztery wiatry tego lichwiarza Radcę Dworu, który skłonił króla do nałożenia takiego olbrzymiego podatku na sól.“

A trzeci wzdychał:

— „Panie, zmiłuj się nad nami, uwolń miasto nasze od tego niktzemnego, chciwego Dostawcy Dworu, który takie niesłychane ceny nałożył na mięso!“

Słyszając, jak wszyscy, bez wyjątku, błagają o ukaranie trzech oszustów, Gdakuleńka jeszcze goręcej zaczęła prosić Pana Boga o zwrócenie jej pierścienia, który obecnie służył rytownikom do wyzyskiwania i unieszczęśliwiania drugich. Ale że była bardzo znużona a w kościele chłodno i cicho było, po chwili zdrzemnęła się na dobre. Byłby ją może kościelny nawet na noc zamknął, ale na szczęście w samą porę zjawiała się Ciapcia, która jej szepnęła do ucha — „Zbudź się, zbudź, Gdakuleńko! Wstawaj w tej chwili! Zbudź się, bo już kościelny zbliża się z kluczami! Wstawaj i chodź za mną, śpiesz się, bo chcę, żebyś zobaczyła, jak wykradniemy pierścień króla Salomona!“

Gdakusia zerwała się na równe nogi a przetarłszy zaspane oczka, wsunęła myszkę do rękawa i pobiegła w stronę zamku rytowników. Kiedy się zbliżyła do kraty ogrodowej, Ciapcia zeskoczyła na ziemię i pokazała jej furtkę. Cichutko wśliznęła się Gdakusia do ogrodu i przykucnęła za oszkloną altaną. Krzaki zasłaniały ją w zupełności, ale ona widziała wszystko, co się działo w altanie.

Trzej rytownicy siedzieli dokoła okrągłego stołu, na środku którego leżał pierścień — ach, tak dobrze znany Gdakuleńce pierścień króla Salomona! Trzej przyjaciele sprzeczekali się zawzięcie, który z nich będzie w tym tygodniu nosił pierścień na palcu.

Wrzeczeli i darli się, jak najęci, każdy chciał mieć pierścień tylko dla samego siebie, bo każdy lękał się, żeby go który z towarzyszy nie uśmiercił. Wkońcu jeden z handlarzy wyciągnął rękę ku pierścieniowi tak gwałtownie, że przewrócił stół, a pierścień potoczył się do stóp drugiego, który porwał go i wsadził na palec; zanim drudzy dwaj rytownicy mieli czas mu go wydrzeć, zaczął nim kręcić, wrzeszcząc:

Mądry królu Salomonie!  
 coś miał klejnot ten w koronie!  
 proszę, zrób, Wielmożność Twa,  
 z tych dwóch kupców osły dwa!  
 bez hałasu i bez krzyku,  
 niech się pasą na trawniku.  
 Kręć się, kręć, pierścionku mój,  
 zrób, co prosi sługa twój!

W czasie powtarzania tych słów z największym pośpiechem — rytownicy tłukli zdrajcę i wydzierali mu pierścień, ale nie upłynęło więcej nad parę sekund i już dwa szkaradne, grube osły ryczały w altanie. Szczęśliwy posiadacz pierścienia wziął tedy pręt i wysmagawszy tego oba osły, wygnał je poza obręb ogrodu. Osły gryzły się początkowo i wierzgały, ale wkrótce przywykły do swojej nowej postaci i łakomie zaczęły wydzierać osty i kępy trawy, rosnące w przydrożnym rowie.

Zaciekawiona, co zrobi teraz trzeci rytownik, Gdakusia zajrzała do altany. Siedział rozparty w krześle ogrodowym i zanosił się od śmiechu, rad, że pozbył się znieprawionych towarzyszy. — „Ha! ha! ha! Tom ich ubrał!“ — wołał, zacierając ręce — „choć raz wyśpię się za wszystkie czasy, bo będę pewny, że nikt mnie w nocy nie poszle na łono Abrahama!“ — to rzekłszy, rozparł się jeszcze wygodniej i, wyciągnąwszy nogi przed siebie, zaczął chrapać.

— Teraz na nas kolej — szepnęła Ciapcia do Ciapusia; przez dziurę w desce wsunęli się oboje do altany. Gdakusia oczu nie spuszczała ze śpiącego rytownika, na którego palcu świecił, jak gwiazda pierścień króla Salomona. Lękała się, że myszki nie będą mogły zesunąć pierścienia, bo rytownik, jakby przeczuwając coś złego, mocno zacisnął pięść. Ale myszki nie myślały zdejmować pierścienia z palca. — Ciapcia podsunęła się tylko do ucha śpiącego i słodkim głosem, zaczęła nucić taki wierszyk:

Perły cenne, luidory  
i brylantów pełne wory  
i dostojęstw długie listy,  
świetny tytuł finansisty,  
pięć orderów, tarcza hrabska,  
Wysokości jego łaska  
Spryt i polot nie nażarty,  
ministerskie bakenbarty,  
interesów cały nawał,  
i gęsiny tłustej kawał,  
i rozkoszny złota brzęk,  
i cebuli świeży pęk!...

Ledwie Ciapcia wymówiła te słowa, śpiący handlarz rozwarł dłoń i chciwie zaczął poruszać palcami, jakby pragnął pochwycić wszystkie cuda, obiecywane mu przez myszkę. Wtedy podsunął się Ciapuś i mocno ugryzł go w palec. Rytownik ocknął się i rzekł: — Ach, jaki rozkoszny sen miałem! Tylko ten pierścień uciska mnie i budzi. Któż mi go teraz zabrać może? Osły pasą się za ogrodem i nie pragną nic ponad trawę, której tam mają podostatkiem. Ach co za sen rozkoszny! Spróbuję zasnąć znowu, może mi się to samo przyśni jeszcze po raz drugi. Tylko zdejmę pierścień i położę na stoliku, żeby mnie znowu nie przebudził.

Szybko zesunął pierścień z palca i zasnął. Kiedy zaczął chrapać, Ciapcia zanuciła raz jeszcze:

Perły cenne, luidory  
 i brylantów pełne wory,  
 i dostojęństw długie listy,  
 świetny tytuł finansisty,  
 pięć orderów, tarcza hrabska,  
 Wysokości jego łaska.  
 Spryt i polot nie na żarty,  
 ministerskie bakenbarty,  
 interesów cały nawał,  
 i gęsiny tłustej kawał,  
 i rozkoszny złota brzęk  
 i cebuli świeżej pęk!

Gruby rytownik trząsł się jak galareta z radości. Tymczasem Ciapuś wsunąwszy łebek w otwór pierścienia, wziął go, jak obrozę na szyję i przyniósł go Gdakusi przez otwór w desce. Z bijącym sercem włożyła go dziewczynka na palec a obracając nim, jak zwykle czyniła, rzekła:

Mądry królu Salomonie,  
 Coś miał klejnot ten w koronie,  
 moją prośbę szepczę ci:  
 niechaj osłów będzie trzy.  
 Za nikczemne ich zamiary,  
 wszystkim słuszne wymierz kary.  
 Daj nad nimi więc pastucha,  
 niech lamentów ich nie słucha,  
 tylko, w rękę wzięwszy kije,  
 grube osły tego bije,  
 niech się ryku ich nie boi,  
 ale ostro skórę loi.  
 Potem zaś pastucha tego,  
 wiedz do zamku kurnickiego,  
 bo rodzice będą radzi,  
 gdy im osły przyprowadzi.  
 Pierścionezku obróć się,  
 spełń mą prośbę, błagam cię.

Ledwie to wymówiła, trzeci osieł wierzgał już w altanie, wydzierając się pastuchowi, który wyciągał go za długie uszy z altany, wysmagał tęgim prętem i wygnał go z ogrodu.

Wtedy Gdakusia wtuliła usteczka w angielskie, białe futerka królowny Ciapci i królewicza Ciapusia i to śmiejąc się, to płacząc ze szczęścia, obsypywała ich pocałunkami, dziękując im za odnalezienie czarodziejskiego pierścienia.

## ROZDZIAŁ OSMY

Po raz trzeci zeszli się Gdakusie i Gdakusie w ruinach zamku kurnickiego i znów z rozpaczą przykłonili się do ziemi z nich nie odnalazło Gdakusie. Gdy późną nocą położyli się na tapczanie w koiwniku Gdakusie rzeka płacząc rzewnie: — Ach, niema, niema naszej szczeniutki kochanej! Pewnie nie zbiedzawo zadziwkało się w lesie i zginęło z przegraniem i głodu. Ach, Gdakusie, Gdakusie! Dlaczego ty znown tak ją nikarasz? Pewnie była się powrócić do nas i pożyty ją dać. Nie zwierzysz! Ach, czemuś to zrobił, czemuś to zrobił, Gdakusie! I gnur, jak się cię przytwarował, jak się cię przytwarował! — Imię Gdakusie — odparł na to Gdakusie — gdybyś była czuwała nad córką naszą, zamiast myśleć o strojach i zabawach — nie byłobyśmy stracił pierścienia króla Salomona i nie rozpaczalibyśmy dzisiaj po stracie ukochanego naszego dziecka. Ławo powiedział: „to twoja wina”, a jednak ja do winy nie poczuwam się wcale. Gdakusie zasłużyła na karę, która jej wyniesiłem i nie za to Bóg nas tak ciężko doświadczył; zamiast skarżyć się i szlechać podjęłyśmy leżeć do kapłeczki zarankowej, pomodlimy się na grobie Aleksandra i prośmy Boga, żeby chwarta wyprawa, którą rozpoczniemy jutro, nie była znów bezowocna.

I oboje poszli do kapłeczki, wklepił przed obrazem, na którym kamiennej kamińskiej rodziny Gdakusów

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Po raz trzeci zeszli się Gdakacz i Gdakula w ruinach zamku kurnickiego i znowu z rozpaczą przekonali się, że żadne z nich nie odnalazło Gdakusi. Gdy późną nocą położyli się na tapczanie w kurniku, Gdakula rzekła, płacząc rzewnie:

— Ach, niema, niema naszej szczebiotki kochanej! Pewnie biedactwo zabłąkało się w lesie i zginęło z pragnienia i głodu. Ach, Gdakaczu, Gdakaczu! Dlaczegoś ty znowu tak ją ukarał? Pewnie bała się powrócić do nas i pożarły ją dziwie zwierzęta! Ach, czemuś to zrobił, czemuś to zrobił, Gdakaczu!

— Imć Gdakulo — odparł na to Gdakacz — gdybyś była czuwała nad córką naszą, zamiast myśleć o strojach i zabawach — nie bylibyśmy stracili pierścienia króla Salomona i nie rozpaczalibyśmy dzisiaj po stracie ukochanego naszego dziecka. Łatwo powiedzieć: „to twoja wina!” a jednak ja do winy nie poczuwam się wcale. Gdakusia zasłużyła na karę, którą jej wymierzyłem i nie za to Bóg nas tak ciężko doświadczył; zamiast skarżyć się i szlochać, pójdźmy lepiej do kapliczki zamkowej, pomódlmy się na grobie Alektrja i prosimy Boga, żeby czwarta wyprawa, którą rozpoczniemy jutro, nie była znowu bezowocną.

I oboje poszli do kaplicy, uklękli przed ołtarzem, na płycie kamiennej zamykającej grobowiec rodziny Gdakaczów

i pomodlili się z całego serca, a potem położyli się na tapczanie i zasnąwszy, śnili o Gdakuleńce.

Nad ranem, Gdakacz usłyszawszy szmer jakiś, otworzył oczy i pomimo panującej dokoła ciemności, dojrzał, że coś przemknęło koło tapczanu i znikło w otworze muru. Gdakacz trącił w bok Gdakulę i rzekł:

— Stara, nie widziałaśże ty nic? Coś mi się tak wydawało, jakby tędy przebiegła ta przeklęta lalka Gdakusi.

A na to odezwał się jakiś cichy głosik:

To nie lalka, tylko śliczne  
takie cacko mechaniczne!

Gdakacz zaczął łąjać Gdakulę, że powtarza bezmyślnie słowa Gdakusi, ale Gdakula, która przez sen także te słowa usłyszała, zaczęła się tłumaczyć, że to on, a nie ona, mówił o cacku mechanicznem. Byliby się zaczęli kłócić, gdy wtem ktoś zlekka zapukał do drzwi. Zerwali się na równe nogi, przestraszeni że ktoś naszedł ich opuszczone schronisko nocne. Ale gdy pukanie powtórzyło się raz, drugi i trzeci, Gdakacz zapytał:

— Kto tam?

Na to odpowiedział jakiś męski głos:

— Przepraszam najmocniej, Jaśnie Wielmożnego Pana, że ośmielam się Go budzić o tak wczesnej porze, ale ci ludzie, którzy przyjechali po trzy centnary z książącej fabryki, obiecały im przez Jaśnie Wielmożnego Pana, czekają już od godziny i dopominają się o ser. Chciałem tylko zapytać Jaśnie Wielmożnego Pana, czy nie zmienił zamiaru i czy mam kazać odważyć te trzy centnary sera?

— Słyszysz Gdakulo? — szepnął Gdakacz, trącając żonę łokciem — ja mam im wydać trzy centnary sera z książącej fabryki? Ba!

— A no — słyszę i wyrozumieć nie mogę, czy my śpimy, czy nie śpimy — odparła Gdakula półgłosem.

Ale gdy człowiek stojący za drzwiami nie przestawał pukać i prosić o pozwolenie wydania 3 centnarów sera, Gdakacz się zniecierpliwił i wrzasnął:

— Cóż ty, trutniu, sobie myślisz, że uda ci się biednego starca na dudka wystrychnąć? Ej, zmykaj, pókim dobry, bo jak chwyćę kostur, to gotowym ci kości poprzetrząć. Czy ja mam jaki ser, czy ja mam jaką fabrykę? Zabieraj się do stu tysięcy djabłów i nie przerywaj nam snu, rozumiesz?

— Przepraszam stokrotnie, Jaśnie Wielmożnego Pana, że ośmieliłem się go przebudzić — odezwał się głos za drzwiami. Zaraz odprawię tych ludzi i powiem im, że Jaśnie Pan cofa rozkaz wydania im tych 3 centnarów sera.

Przez chwilę słychać było w podwórzu gwar kilku głosów i kroki kilku ludzi idących tam i zpowrotem. Zdumienie Gdakacza wzrastało.

— Ach! — rzekł wkońcu, boję się, czy jacy nieprzyjaciele nie godzą na nasze życie i czy nie chcą nas wywabić z izby, ażeby nas tem łatwiej zamordować!

— Jezu najświętszy! to byłoby straszne! — jęknęła Gdakula, mimowoli przyciskając się do jego ramienia.

W tej chwili zapukano do drzwi znowu, a Gdakacz, choć w przestachu, zapytał: „Kto tam?”

— To ja, kucharz, proszę łaski Najjaśniejszego Pana, brzmiała odpowiedź, — przyszedłem się zapytać, czy Jaśnie Pan rozkaże wydać centnar szynki temu człowiekowi, który na 3 osłach ma je odwieźć na dwór królewicza Ciapcia?

Gdakacz chwycił się za głowę myśląc, że zwarzjował, potem dopadł drzwi, ale zaledwie uchylił ich troszkę, Gdakula krzyknęła ze zdumieniem:

— „O, Jezu! przecież tam naprawdę stoją trzy osły!“  
Rzeczywiście, w brzasku dziennym odróżnić było można pa-



chołka, trzymającego na uzdach trzy wierzgające i ryczące osły.

W kurniku było jeszcze zupełnie ciemno, bo światło dzienne wciskało się tylko przez szpary uchylonych drzwi. Gdakacz zaczął macać po kątach, chcąc odnaleźć swój kostur, gdy nagle dwoje ramion objęło go za szyję i czyjaś świeża, jak płatek kwiatu twarzyczka, przytuliła się do jego twarzy.

— Na miłość Boską! a to co takiego? — jęknął Gdakacz, a gdy nieznamyta nie przestawała obsypywać go najczulszemi pocałunkami, Gdakula podbiegła ku mężowi, ale i ona uczuła, że ktoś ją obejmuje i całuje z uniesieniem. Potem ktoś osunął się do ich kolan i znanym im, a tak drogim dla nich głosem, szepnął:

— Tatku, matusiu! czyż naprawdę nie poznajecie waszej małej córeczki Gdakuleńki?

— Gdakuleńka! — wykrzyknęli oboje — ach nie, to niemożliwe, przecież Gdakuleńka była małym dzieckiem, a ty jesteś dorastającą panienką!!

— Ach, to wszystko jedno, ja i tak jestem waszą Gdakuleńką, odparł świeży, dziewczęcy głosik i czyjaś ręka pchnęła silnie drzwi kurnika.

To, co Gdakaczowie ujrzeli w świetle dnia wschodzącego, było tak zdumiewającym, że, jak za dawnych, dobrych czasów, rzucili się sobie w objęcia i rozplakali się z radości, jak małe dzieci.

Przed nimi stała Gdakuleńka, ale jakże inaczej wyglądała, jak przed trzema miesiącami! Nie było to już małe, brudne i obdarte dziecko, była to cudnej urody panienka, lat około siedmnastu. Miała te same długie, złote włosy, te same oczy, koloru bławatka, te same usteczka, ale przytem była smukła i słuszną, jak przystało na dorastającą panienkę. Zamiast łachmanów, miała na sobie jasny, batystowy szlafro-

czek, którego barwa i wykwintny krój, podnosiły jeszcze blask jej niepospolitej urody. I Gdakaczowie nie byli już tymi co przed chwilą. W niemym zachwycie ujrzeni, że są parą młodych, pięknych ludzi, bez śladu poprzedniego ubóstwa i zgrzybiałości. Podwórze, otaczające ich dokoła, nie było już podwórzem opuszczonego zamczyska, zarośniętem zielskiem i trawą, — był to wspaniały dziedziniec zamkowy, otoczony zabudowaniami mieszkalnymi i gospodarskimi. Pośrodku, niedaleko wodotrysku, trzy osły, przywiązane do jednego z kasztanów, tworzących długą aleję na dziedzińcu, zwiesiły łby ku ziemi, jakby nie śmiały oczu podnieść ze wstydu. Służba zamkowa w liberji uwijała się przy pracy, a przechodząc koło Gdakacza, Gdakuli i Gdakuleńki, witała ich ukłonami i życzliwym uśmiechem.

— Ach, czy to możliwe? Czy to możliwe, żeby nas spotkało tyle szczęścia? — wykrzyknął Gdakacz, nie mogąc własnym wierzyć oczom.

Na to Gdakuleńka zaśmiała się radośnie i wyciągnęła ku ojcu białą, delikatną rączkę, na której błysnął w promieniach słońca czarnoksięski pierścień króla Salomona.

— Pierścień? — zawołał Gdakacz, — odnalazłaś nasz cudowny pierścień, który utraciliśmy przez tę lalkę?

A na to Gdakuleńka wlot:

To nie lalka, tylko śliczne  
takie cacko mechaniczne!

— Ach, uparte stworzenie! — roześmiał się Gdakacz, teraz śmiało powtarzasz swoją piosenkę, bo wiesz, że już jesteś za duża, żeby brać w skórę na kolanie ojca!

— Ale, powiedz, Gdakusiu, jakim sposobem odnalazłaś nasz pierścień? — przerwała Gdakula, chcąc odwrócić rozmowę od tematu, który mógł być trochę niemiłym dla Gdakuleńki. — Córuchno, cudo moje! opowiedz — prosiła, nie

mogąc nadziwić się i nacieszyć pięknością i rozsądkiem Gdakuleńki.

Ścisnęła ją i całowała i znowu odchodziła o parę kroków, nie mogąc się jej dość napatrzeć.

— Opowiedz! opowiedz — dodał Gdakacz, serdecznie tuląc ją do swojej piersi.

Na to odrzekła Gdakusia: — Nie myślcie, tatusiu i matenku, że odnalezienie pierścienia jest moją zasługą, — całe szczęście obecne zawdzięczamy Tobie tylko, tatkule mój najdroższy! — Mnie?! — wykrzyknął Gdakacz — ależ od czasu twego zniknięcia nie robiliśmy nic innego, tylko chodziliśmy od domu do domu, szukając cię i pytając, czy ciebie kto nie spotkał!

— A jednak przekonasz się tatkule, że mówię prawdę, — gdy opowiem ci wszystko co mnie spotkało od chwili rozstania się z wami — zaśmiała się Gdakusia. Ale wejdźmy najpierw do zamku, mam nadzieję, że odnajdziemy w nim miłszy kącik, aniżeli ten kurnik, który musimy odstąpić prawowitym jego mieszkańcom.

I Gdakuleńka obróciła pierścień na paluszku, mówiąc:

Mądry Królu Salomonie,  
 coś miał klejnot ten w koronie,  
 od podłogi do powały  
 zapełń drobiem kurnik cały.  
 Głosy niech kogutów, kur  
 spłyną w jeden zgodny chór,  
 niech się wabia, grzebia, skaczą,  
 niech krokorzą, pieją, gdaczą;  
 na wysokiej, szczytnej grzędzie  
 niech wspaniały kogut siedzie,  
 niechaj czuwa nad kurnikiem,  
 w skrzydła bije z wielkim krzykiem,  
 i jak trębacz, pieje w lot,  
 gdy się zbliży, tchórz lub kot.

Niechaj każdy wyrozumie,  
 że w tem pianiu, skrzydeł szumie,  
 który cały dwór porusza,  
 tkwi dzielnego giermka dusza!  
 Sprowadź także pawie nam,  
 niech u stópek swoich dam  
 kroczą, cudne swe ogony  
 roztaczając na wsze strony.  
 Niech nim minie jedna chwilka,  
 też indorów będzie kilka  
 o koralach niby krew,  
 gdy w nich zawsze srogi gniew.  
 Daj nam także kaczki białe,  
 które kształcąc swoje małe  
 dają nurka w stawu wody,  
 wciąż szukając w niej ochłody.  
 Daj nam gęsi, co w niebiosa  
 patrzą, czy nie spadnie rosa,  
 lub na jednej stoją nodze,  
 zadumane czegoś srodze.  
 Prując piersią błękit fali  
 niech łabędzie płyną z dali,  
 niech po srebrnej krążąc toni  
 bułkę jedzą z naszej dłoni.  
 Stado niech gołębi grucha  
 szepcząc żonom swym do ucha,  
 by pojęły należycie,  
 jak jest cudem pięknym życie!  
 Daj to wszystko, panie, daj,  
 a z kurnika zrobisz raj!  
 Pierścioneczku póki czas  
 kręć się i wysłuchaj nas!

Zaledwie Gdakuleńka wymówiła to zaklęcie, kurnik zaroił się najcudowniejszemi okazami ptactwa domowego: gęsi, kaczek, kur, kogutów, paw i łabędzi, których głosy napelniły dziedziniec życiem i weselem. Na dachu kurnika stado gołębi o barwnych i tęczyowych szyjach zaczęło wabić się i gruchać.

Gdakacz i Gdakula długo cieszyli się widokiem ślicznych ptaków, poczem wszyscy podążyli do zamku.

Ach! z jakim zachwytem patrzyli na to gniazdo przodków swoich, któremu pierścień czarnoksięsko przywrócił dawną świetność. Przechodząc przez olbrzymie sale zamkowe, umeblowane starożytnymi stylowymi sprzętami, doszli aż do najwyższego piętra i przystanęli na ganku wieży, z której roztaczał się przepyszny widok na całą okolicę. Woddali ponad wierzchołkami drzew błyszcząły w słońcu szczyty zamku w Jajogrodzie.

— Ach jak tu ślicznie! — zawołała Gdakusia — jeżeli tatko i mama pozwolą, to tu usiądziemy, i tu opowiem wam moje przygody, które mi dopomogły do odnalezienia pierścienia króla Salomona. Tylko najpierw musimy zjeść śniadanie.

Ledwie wymówiła te słowa, w drzwiach wieży ukazał się stary kamerdyner, przynosząc na tacy mleko, kawę i czekoladę, oraz kosz z owocami i ciastem. Postawiwszy to wszystko na stole, zapytał:

— Czy Jaśnie Pan rozkaże obładować te trzy osły, czekające na dziedzińcu, szynkami i serem ze śpiżarni pałacowej?

— Naturalnie — zawołała Gdakusia — tylko proszę dopilnować, żeby wszystko było w najlepszym gatunku. Dalsze rozporządzenia wydam później!

Gdy się kamerdyner oddalił, Gdakusia, widząc, że rodzice z niecierpliwością oczekują wyjaśnienia, zaczęła opowiadać pokolei wszystko, co zaszło od chwili rozstania się z nimi.

...Podziękowawszy myszkom za odnalezienie pierścienia — zakończyła Gdakusia — przekreśliłam go na palcu prosząc, żeby mnie do was zaprowadził.

Nagle poznałam, że jestem w starym poczciwym naszym

kurniku, a słysząc wasze skargi, zapragnęłam, żebyście ujrzeli zamek w dawnej jego świetności.

Zażądałam także, żeby pierścień zmienił was w młodych i pięknych ludzi, a mnie zrobił rozumną panienką, bo bałam się, że gdybym została dawną, małą Gdakuleńką, mogłabym znowu chcieć jakiej lalki i popełnić nowe jakie głupstwo. A kiedy się to wszystko spełniło, chcąc wam zrobić niespodziankę, wsunęłam się do najciemniejszego kącika. Ale Ciapcia koniecznie się napała, żeby ją przywiązać do laleczki, bo chciała wam się pokazać w dawnej postaci. A kiedy tatko krzyknął: — lalka! lalka! — ja powiedziałam: to nie lalka, tylko małe cacko mechaniczne! resztę już wiecie sami!

Kiedy Gdakuleńka mówić przestała, Gdakacz i Gdakula porwali ją w objęcia:

— Dzięki Ci, stokrotne dzięki, drogie dziecko nasze! — mówili, całując ją po niezliczone razy. — W nagrodę za to, coś wycierpiała, pierścień od dziś będzie twoją własnością; noś go zawsze na palcu i miej wszystko, czego tylko zapragniesz.

— Z radością przyjmuję — mam nadzieję, że nie zawiodę waszego zaufania — odparła Gdakuleńka. — Zaraz pójdziemy objuczyć osły wszystkimi przysmakami, które przyrzekłam naszym maleńkim wybawcom. A potem się sami przekonacie, jak rozumne żądania będę stawiała pierścieniowi...

Wszyscy zeszli nadół, osobiście dopilnowali objuczenia osłów holenderskim serem, workami migdałów w łupkach, pudłami czekoladek warszawskich, marcepanów krakowskich, obwarzanków lwowskich, piernikami toruńskimi i wielu innymi krajowymi przysmakami. Nie brakło także Jajogrodzkich pajaców z piernika i zajączków z czekolady. Ciapuş i Ciapcia, nie posiadając się z radości, kolejno wdrapali się na Gdakuleńkę i zapiszczeni jej do uszka najśliczniejsze piosenki pożegnalne. Napieściwszy się z niemi, Gdakuleńka

włożyła je do baraniej czapki, którą Gdakacz mocno przywiązał między uszami jednego z osłów. Potem pastuch śmignął batem; osły wolno ze zwieszonymi łbami podążyły do Mysiogrodu. — Teraz — rzekła Gdakuleńka — musimy pójść do kaplicy zamkowej; zobaczymy, czy bardzo się od wczoraj zmieniła.

Ledwie wymówiła te słowa, rozległ się głos dzwonu, wzywający na nabożeństwo.

Wszyscy troje podążyli do kaplicy zamkowej, podziwiając freski ścienne, staroświeckie ołtarze, których zczerniałe od starości obrazy, oświecone były teraz światłem jarzących się świec woskowych. W bocznej nawie zwrócił ich uwagę posąg, przedstawiający św. Piotra, na którego ramieniu usiadł kogut złoty; kogut ten piał wszystkie godziny, a piejąc, bił skrzydłami jak żywy. Gdakacz i Gdakula napatrzeć mu się nie mogli. Zdawało im się, że widzą ukochanego Alektrja, bo podobieństwo głosów obu kogutów było uderzające; łyzy wzruszenia błysnęły w ich oczach. Widząc to Gdakuleńka, szybko obróciła pierścień na palcu, mówiąc:

Mądry Królu Salomonie,  
coś miał klejnot ten w koronie,  
usłysz korną prośbę panie:  
niech Alektrjo zmartwychwstanie!  
Pierścionezku, zakręć się  
i życzenie wypełń me.

Ledwie Gdakuleńka wymówiła te słowa, złoty kogut zmienił się w Alektrja, zapiał i, radośnie bijąc skrzydłami, zleciał z ołtarza na ramię Gdakacza. Zaraz potem rozpoczęło się nabożeństwo. Thumy ludu i służby zamkowej napęłniły kaplicę, organy zagrały, wszyscy śpiewali, a ksiądz powiedział takie kazanie, że aż się serce radowało, a kiedy po skończeniu nabożeństwa, ksiądz zwrócił się do klęczących, pytając,

czy nikt z obecnych nie zamierza wstąpić w związki małżeńskie, Gdakuleńka obróciła pierścień na palcu, mówiąc:

Mądry Królu Salomonie  
 coś miał klejnot ten w koronie,  
 proszę, żebyś mi co tchu,  
 Jajomira przywiódł tu.  
 Prędko, prędko, pośpiesz się  
 i życzenia wypełń me!

W tej chwili odezwały się na podwórzu zamkowym dźwięki rogów myśliwskich. Gdakuleńka wybiegła z kościoła i ujrzała maleńkiego królewicza, ubranego w zielone ubranko myśliwskie. Jajomirek zeskoczył na ziemię i zaczęli się ścisnąć i całować, wołając ze zdumieniem. „Ach, jakaś ty duża! Ach, jakiś ty malutki!“ Wtedy Gdakuleńka obróciła pierścień na palcu, prosząc, żeby Jajomirek zmienił się w pięknego rozumnego i dobrego młodzieńca, a gdy się to stało, królewicz podał ramię Gdakuleńce i wprowadził ją do kościoła. Tu uklękawszy przed Gdakaczem i Gdakulą, powiedział im, że rodzice jego: król Jajożer i królowa Jajolegia już nie żyją, więc sam ośmiela się prosić o rękę Gdakuleńki, która z nim razem będzie odtąd sprawowała rządy w królestwie Jajogrodu. Gdakacz i Gdakula chętnie pobłogosławili ich, wiedząc, że od dziecka Jajomir i Gdakuleńka kochali się serdecznie, poczem wszyscy razem podeszli do ołtarza, a po wypowiedzeniu słów przysięgi, ksiądz związał im dłonie stulą i młoda para zamieniła pierścionki.

Po ślubie rozesłano gońców do Jajogrodu, zapraszając lud cały na ucztę weselną. Wkrótce zamek i lasy okoliczne zapełniły się tysiącami rozradowanego ludu.

A w zamku tymczasem Gdakacz, Gdakula i Gdakuleńka opowiadali królowi Jajomirowi dziwne koleje, jakie przechodził czarnoksięski pierścień króla Salomona. Król przy-



tulił Gdakuleńkę do piersi, dziękując jej, że nie wahała się mu oddać tak drogiego skarbu, poczem zdjął pierścień z palca i przyjrząwszy mu się z uwagą, położył go na stole i rzekł:

— A teraz, pierścieniu kochany, spełnij natychmiast pierwsze życzenie umiłowanej mojej Gdakuleńki!

— Ach — zawołała Gdakuleńka — nie chciałabym już nic więcej, tylko żeby to wszystko nie było prawdą, jeno bajką i żebyśmy byli małemi dziećmi i żeby nam Alektrjo tę bajkę opowiadał i żeby się nam ta bajka tak podobała, żebyśmy aż w ręce klaskali z radości.

Ledwie wymówiła te słowa, Alektrjo, siedzący pośrodku stołu pochwyił dzióbem pierścień i połknął go i w tej chwili sala zamkowa zmieniła się w cudowną zieloną łąkę, a wszyscy obecni w małe, wesołe dzieci. Dzieci kołem otoczyły koguta, słuchając prześlicznej bajki, którą im Alektrjo zaczął opowiadać.

A bajka była tak prześliczna, że kiedy skończył, dzieci tak mocno biły w rączki z uciechy, że do tej pory czuję, jak mnie dłonie pieką. Bo trzeba wam wiedzieć, że między temi dziećmi i ja byłam i od samego Alektrja tę dziwną opowieść usłyszałam.



...Gdaluńka do pierś, dzierżąc ją, nie wahała się  
mu oddać tak drogoemnego skarb, poczem wzięła pierścionek  
z palca i przyrzeczy mu się z uwagą, położył go na stole  
i rzekł:

— A teraz, pierścieniu kochany, spełnij natychmiast  
pierwsze życzenie unioowanej mojej Gdaluńki!

— Ach — zawołała Gdaluńka — nie chciałym już  
nie więcej, tylko żeby to wszystko nie było prawdą, jeno  
pałkę i żępsany pył małemi dziećmi i żępy nam Alektyje  
te pałkę opowiadają, żeby się nam tak pałki tak podobnie,  
żępsany zaś w ręce klasali z radością, wógor kłówsz  
oniobawie gromadziła te słowa, Alektyje, siebzępy podobnie  
stole podobnie dziećmi pierścieni i polcał go i wzięła  
zale, kankowa nastąpiła się wy, a budoz, a budoz, a budoz  
a wazępy kóbcieci by miał wesołe dzieci, trzeci kóbcieci  
czyli kóbcieci kóbcieci, kóbcieci, kóbcieci, kóbcieci, kóbcieci  
zaczęli opowiadają, ograb i oganuz, ograb i oganuz  
ob A pałka była tak podobnie, że kóbcieci kóbcieci, dzieci  
tak uocno były w ręce, a w ręce, że do tej pory, czyż jak  
tanie dnie dzieł. Bo trzęba wam wiedzieć, że między temi  
dziećmi ja bytam i od samego Alektyje, że dziwne opowiesz  
zafazali, że wesołe kóbcieci kóbcieci, kóbcieci, kóbcieci, kóbcieci  
i wesołe kóbcieci kóbcieci, kóbcieci, kóbcieci, kóbcieci, kóbcieci  
kt, wiedząc, że od dziećmi kóbcieci kóbcieci, kóbcieci, kóbcieci  
serdecznie, poczem wszyscy kóbcieci kóbcieci, kóbcieci, kóbcieci  
wypowiadaniu słów przyrzeczy, kóbcieci kóbcieci, kóbcieci, kóbcieci  
kóbcieci i kóbcieci para zamieszli pierścieni.

Pył subito rozszalał gońców do Jajogrodu, zapraszając  
ich cały na następną wesele. Wkrótce zamek i lasy okoliczne  
zapłnili się tysiącami rozradowanego ludu.

A w zamku tymczasem Gdaka, Gdakuła i Gdaluńka  
opowiadał królowi Jajogrodowi dziwne koleje, jakie prze-  
chodził czarnoksiężnik pierścieni króla Salomona. Król przy-

I. J. Ossolineum  
Wrocław  
1. VII. 1862.



*Faint handwritten text, possibly a signature or date, located in the bottom right corner of the page.*

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001018624548



890616

BN

BN

BN

BN

BN